

Rok XXXIV

Nr e-167 (363)

Wrzesień 2020

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Trzeci raz o karkonoskich nieporozumieniach terenowo-nazewniczych	<i>Jerzy K. Bieńkowski</i>	3
Wilcza Równia to jest Wilcze Rozdroże.	<i>Bartosz Skowroński</i>	9
W Zaworach	<i>Zbigniew N. Piepiora</i>	11

OJCZYSTE SZLAKI

„Maguranka” z nadzieją na normalność	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	13
Radość – w gminie, będzie... klaster.	<i>Tomasz Kowalik</i>	14
Jura w czasach zarazy. Część I: Tuż przed	<i>Mirosław J. Barański</i>	17
Dzika mazurska Republika Ściborska	<i>Tomasz Kowalik</i>	19
CYTAT MIESIĄCA	<i>Juliusz Wystouch</i>	16

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Szlak nie dla wszystkich.	<i>Juliusz Wystouch</i>	21
--------------------------------	-------------------------------	----

TRASA MIESIĄCA

Na rowerze po Ziemi Chełmińskiej (1)	<i>Juliusz Wystouch</i>	23
--	-------------------------------	----

GLOBTROTER

Zamek w Trenczynie.	<i>Mirosław J. Barański</i>	27
Katedra w Warnie	<i>Grzegorz Wojciechowski</i>	30

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Kolej w góry ruszyła.	<i>Anna Meissner</i>	32
Jelenia Góra na najwyższym szczycie Polski.	<i>Krzysztof Tęcza</i>	33
Na Przełęcz Okraj w czasie zamknięcia granic	<i>Zbigniew N. Piepiora</i>	38
Popołudniowy wypad na Śnieżkę	<i>Krzysztof Tęcza</i>	41

U KRESU WĘDRÓWKI

Pamięci Andrzeja Hermanna.	<i>Juliusz Wystouch</i>	43
---------------------------------	-------------------------------	----

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Wspomnienie Mariana Klaklika z rabacją Kostki Napierskiego w tle	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	45
Ten, który zaczął budować	<i>Tomasz Kowalik</i>	46
Leonard Jaczewski	<i>Janusz Fuksa</i>	48

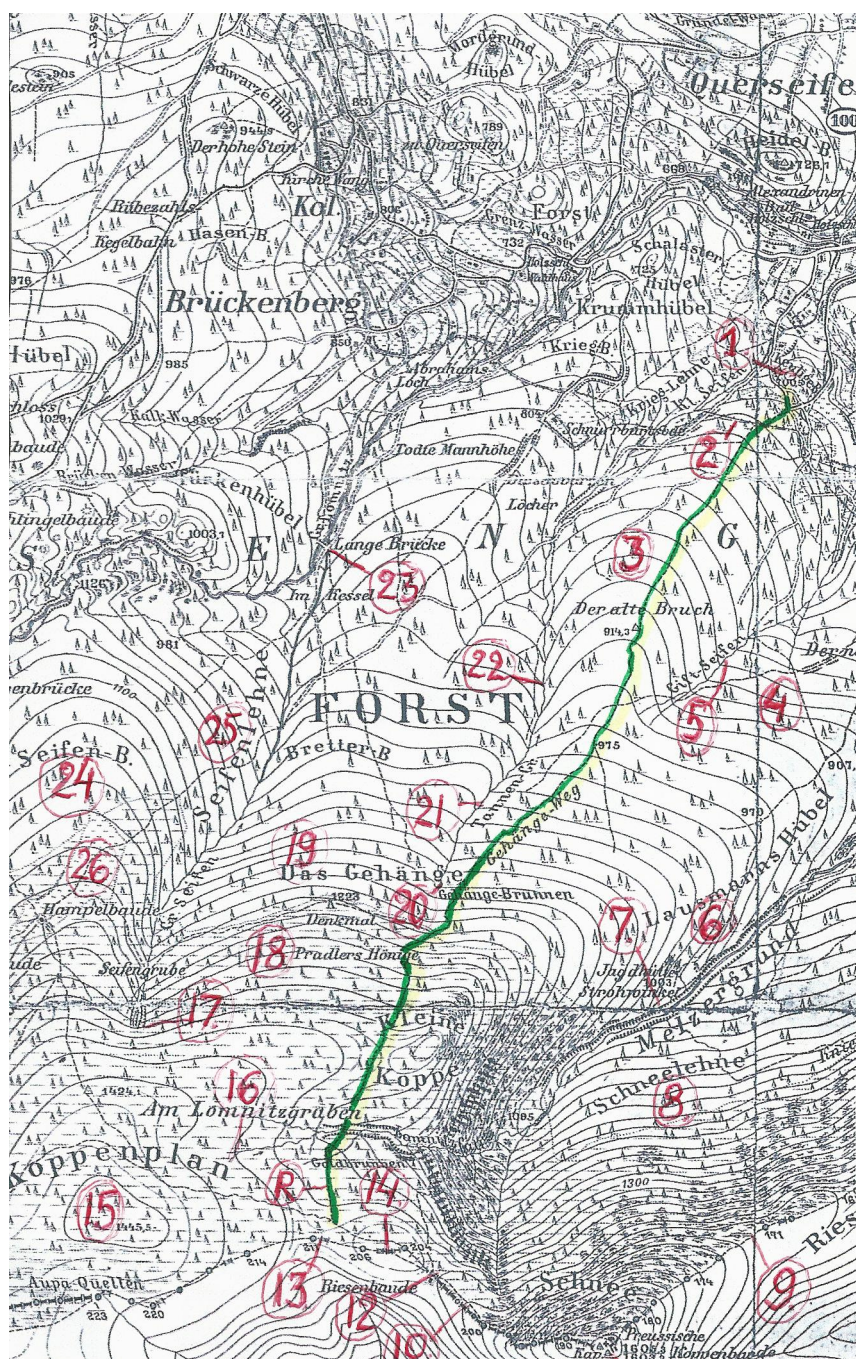
Na okładce: Na zamku Pilcza w Smoleniu. Fot. Mirosław J. Barański

Trzeci raz o karkonoskich nieporozumieniach terenowo-nazewniczych

W pierwszej części tego cyklu z października 2017 r. pisałem o nazwach: Baszty Skalne, Bucznik, Mumlawski Wierch, Szrenicka Skała, Uroczysko Jagniątkowskie, Waloński Kamień i Wodospad Podgórnjej. W drugiej części w lutym 2019 r. omówiłem nazwy: Borówczane Skały, Czoło, Głazisko, Grzybowiec, Misie i Niedźwiadki, Podgórzyński Raj, Srebrnik i Wielka Góra. Teraz kolej na następne.

CZESKIE KĄTY

Jeżeli pójdziecie drogą przez Niedamirów w górę potoku Ostrężnika, to po prawej stronie będziecie mieli Lasocki Grzbiet, a po lewej Rychory, a szerzej: Czeskie Kąty. Granicę ich wyznacza od pn. na całej długości tok Ostrężnika. Od Celnego Siodła granica biegnie na płd. wzdłuż Starej Żelaznej Drogi przez Lelęk, Czepiel z leżącym niżej Przekiem aż po Róg. Na Rogu (charakterystyczna czeska chatka samoobsługowa) zmienia kierunek na wschodni i schodzi stromo w dół przez Rychorską Górę pn.-wsch. stokami Żaclerskiego Grzbietu na Naróżnik na Bobrzańskim Ustroniu. Dalej idziemy granicą na Klęk. Teraz jesteśmy na skraju Gałusznego. Jest to płd.-wsch. zakątek Czeskich Kątów na styku z Opalonem, które z kolei jest dolnym fragmentem stoków Żaclerskiego Grzbietu wraz z podnóżem. Z Klęku granica prowadzi przez dawne przejście graniczne na Żaclerskim Siodle i skrajem Dolnego Kierzu dochodzi na pn.-wsch. do Bobru wpływającego na Śląsk. Teraz z nurtem rzeki biegnie do ujścia Ostrężnika i zamyka obszar Czeskich Kątów. Jest to jeden z najmniej znanych rejonów Sudestów z uwagi na uciążliwy dojazd. Jeżeli planować wycieczkę to na 2 – 3 dni.



1. Garb; 2. Droga Urszuli; 3. Stara Fałda; 4. Nowa Fałda;
5. Wilczy Potok; 6. Wszawy Stok; 7. Słomiane Zacisze;
8. Śnieżny Stok; 9. Górna Szczytowa Ścieżka; 10. Dolna Szczytowa Ścieżka; 11. Śnieżka; 12. Przeł. pod Śnieżką; 13. Przeł. pod Płaskami;
14. Mały Płask; 15. Wielki Płask; 16. Źródło Łomniczki; 17. Biały Jar;
18. Nawisłe Miody; 19. Pochylne; 20. Pochylne Źródła (Bystrzyka);
21. Jodłowy Dół; 22. Bystrzyk; 23. Niedługi Mostek;
24. Płócznia; 25. Płóczne Zbocze; 26. Złotówka

Bazę stanowi agroturystyka „Ziemowit” w Niedamirowie, bardzo dobrze położona w środku wsi. Część górystą tego obszaru oddziela droga prowadząca spod „Ziemowita” na Opalone, którą najłatwiej zaczynać wycieczki. Dojście spod Klęku (słupki 8/7) szlakiem zielonym na Róg i dalej granicą do Przeł. Celnej. Stąd zejście do Niedamirowa. Co ciekawego w śląskich Rychorach? Koło agroturystyki wznosi się góra Kalwaria z resztkami XIX – wiecznej kalwarii i fundamentami kaplicy pod szczytem. Po przeciwnej stronie góry wpada do Ostrężnika Brogowa Woda. To pierwsza niespodzianka, bo na mapach PLAN-u figuruje...Żądna! To po prostu złe odczytanie nazwy potoku Zadna w Zarządzeniu nr 115 Prezesa R.M. z dn. 1 czerwca 1951 r. w sprawie przywrócenia i ustalenia urzędowych nazw rzecznych śląskiej części dorzecza Odry i Łaby (MP nr 62 z dn. 17 lipca 1951 r.). Zadna (Hinter Wiesen Wasser) wypływa pod Babim Stokiem (Hexenlehne) i zabierając Cichą Wodę (Leise Wasser) z Rychorką zmierza do Ostrężnika, omijając Niedamirów. Tymczasem Brogowa Woda (Schober Wiesen Wasser) wypływa z pn. stoku Czepiela i mijając Kalwarię od pn. uchodzi w Niedamirowie do Ostrężnika. Nazwa tego potoku pochodzi od ostręgi tj. kolca, który na ogół myli się z ostrogą znaną ułanom. Obie nazwy potoków wskazują, że dawniej użytkowano we wsi duże łąki, które dzisiaj zarosły. Śląska część Rychorów nie posiada efektownych skał, do jakich przyzwyczał nas Główny Grzbiet karkonoski. Największe z nich to Łyżnik (Löffelstein) na pn.-wsch. stoku Lelka poniżej Celnego Siodła. Również na szczycie Lelka po czeskiej stronie są niewielkie skałki, a na Czepielu mała zieleńcowa skałka. Lelek to ptaszek dosyć nietypowy. W dzień mało aktywny, „bąblujący” w krzakach i wysokiej trawie, ożywia się o zmroku. W ludowych wierzeniach nazywano go kozodojem i sądzono, że w porze dojenia kóz przylatuje wypijać ich mleko. Miłośnikom ekstremalnych przeżyć polecam zejście z Rogu na Bobrzańskie Ustronie linią granicy (nie szlakiem!) Przez Rychorską Górę i grzbiet Opalonego do Narożnika (słupki (9A)). Jeżeli dacie się namówić jesienią i po deszczu to zjazd zapewniony jak na trasie FIS. Autor wypróbował to na własnym odwłoku. Powodem jest nachylenie stoku i bukowe liście dające poślizg. Czeskie Kąty znane były w okresie konwencyjnym, gdyż na drodze z Niedamirowa do Żaclerza istniało wspomniane już przejście graniczne. Drugie przejście dla pieszych było na Celnym Siodle. Po raz kolejny muszę zwrócić uwagę, że przymiotnik od nazwy bobra europejskiego brzmi „bobrowy”, ale od rzeki Bóbr już „bobrzański”. Dlatego umieszczanie na mapie nazwy „Bobrowy Stok” jest zwykłą paranoją! To jest Bobrzańskie Ustronie (Boberska straż). Zestawiony mikroonim o charakterze nazwy mieszanej: etniczno-topograficznej.



**Pochylne w rejonie śród. źródła Bystrzyka.
Fot. Krzysztof R. Mazurski**

JAKUSZYCKI GRZBIET

Od dawna zastanawiam się, dlaczego najdalej na zachód wysunięty boczny grzbiet Głównego Grzbietu Karkonoszy nie posiada nazwy? Przecież nasuwa się ona sama. Grzbiet odchodzi od Mumlawskiego Wierchu na pn.-wsch. na Polanowym Siodle i przez Przedział, gdzie zmienia kierunek na pn.-zach., Opoczną, Babinię i Ptasia – schodzi do Jakuszyc, gdzie poza Szosą Czeską jest ostatnia góra Kaleniec w zakolu Kamiennej nad Kalną Jamą nazywaną Bagniskiem (!). Po drodze na prawym brzegu rzeki zgarnia jeszcze dwie góry o nazwie: Jakusz i Jakola. Obie nazwy, tak jak i Jakuszyce, pochodzą od imienia Jakub. Natomiast potoczne Bagnisko jest nazwą autora z poczuciem humoru, ponieważ oznacza: miejsce po bagnie. Tak! A skąd taka dziwna nazwa siodła od polana? To raczej nazwa T. Stecia „Przedział” jest dziwna. Niemiecki Scheitel to nie przedziałek we włosach tylko rydel, polano, szczapa. Stec z małego przedziałka zrobił nazwę augmentatywną (zgrubiałą), bo ten wielki przedziałek przedziela doliny Kamiennej i Kamińczyka. W zakłębnięciu Jakuszyckiego Grzbietu i Mumlawskiego Wierchu mamy duże źródłowe torfowisko Kamiennej o nazwie Mamle. Prawidłowy

derywat od polskiego „mamlać”, który w wersji niemieckiej *mu-meln* urodził Mumlavę i Mumlawski Wierch. Z tej ostatniej nazwy Niemcy nie bardzo byli zadowoleni. Domagano się jej zmiany na Wielką Muldę (!). Ponieważ Przedział zdążyłem już obsobaczyć, to teraz kolej na Opoczną. Ta rozległa góra nad Mamlami, pomiędzy Owczym Potokiem a Kulikiem wyróżnia się pod względem krajoznawczym. Wszyscy znamy piękne Owcze Skały wzdłuż jej grzbietu, ale na pn.-wsch. stoku góry jest grupa pięciu skałek ledwie oznaczana na mapach. Skały te miały nazwę Thorsteine od nordyckiego boga piorunów. Jednak padły ofiarą...gramatyki! Na początku XX w. doszło do reformy pisowni niemieckiej, którą uproszczono i m.in. zlikwidowano literkę „h”, która dosyć często ozdabiała rzeczowniki niemieckie. Z Thora zrobił się Tor, co po niemiecku oznacza...bramę. Dlatego nazwę przeniesiono wyżej, gdzie bardziej pasowała. Tak powstała S Brama. Na otarcie łez wymyślono nazwę Tonsteine, od ładu. Ta zdecydowanie się nie przyjęła. Dlatego teraz zaproponowałem dla tego zgrupowania nazwę Niemieckie Skały. Uważam, że Niemcom w Karkonoszach też się coś należy. Oczywiście w nazewnictwie! Kolejną górą jest Babiniec z Babskimi Skałami na szczycie i osobistą dedykacją Stecia w postaci Baby. Tę część grzbietu kończy wzniesienie Ptasiej z Ptasimi Gniazdami. Wypada jeszcze wspomnieć o potoczku o zaskakującej nazwie Kulik. Nazwa ptaka typowego raczej w Biebrzańskim Parku Narodowym, ale nie w Karkonoszach. Niemiecka nazwa potoku brzmiała Brachfloß, a nie Brachvogel, co wyklucza ptaka z nazwy. Chodzi raczej o Płony Sław. Jeszcze tylko nazwy Kalna Jama i Kaleniec - obie pochodzące od kału, czyli błota, bagna. Grzbiet jest niedługi, raptem 4 km, ale za to jakie widoki i skalne atrakcje! Zestawiony makroonim z członem odmiejscowym.



Środkowe źródło Bystrzyka. Fot. Krzysztof R. Mazurski

MŁAKA

Chociaż nazwa ta przyszła do nas razem z pasterzami wołoskimi przez Karpaty, to wcale nie jest rumuńskiego pochodzenia. W Sudety zabrała się razem z „geografami wrocławskimi” jak nazwano podkomisję KUNM składającą się z „repatriowanych” ze Lwowa naukowców z Uniwersytetu im. Jana Kazimierza. Ironia przez łzy... Nazwa występuje nie tylko w krajach słowiańskich, ale dosłownie w całej Europie w formie: Młaka, Młaka, Mlak. Pochodzi od psł. morfemu *molka oraz ie. *melk – wilgoć, mokrość. W związku z tym ma różne znaczenia w rozlicznych językach europejskich. I tak w językach: czeskim, słowackim, serbsko-chorwackim i słoweńskim oznacza kałużę, ale w rosyjskim i bułgarskim – bagno. W języku polskim sprawa jest bardziej skomplikowana, ponieważ nie da się znaczenia wyrazu przekazać jednym słowem. Słownik Doroszewskiego uważa, że jest to *bagnisty, podmokły teren, porośnięty mchem, turzycami itp. roślinnością bagienną, płytkie zbiorowisko wody stojącej*. Wszystkowiedząca Wikipedia.pl traktuje ją jako *powierzchniowy nieskupiony wypływ wód podziemnych, także wokół źródła zwykle zatorfiony lub zabagniony wskutek utrudnionego odpływu wody. Często porośnięty roślinnością bagienną*. Encyklopedia.pwn.pl z wyższością wykształconego mądrali poucza, iż jest to *hydrol powierzchniowy, rozlewny wypływ wody podziemnej zatorfiony lub zabagniony, mający na ogół odpływ*. Po czym dodaje tym, którzy nic z tego nie zrozumieli: *teren podmokły!* Na portalu edefinicje.pl dowiemy się szczegółów: 1. *Teren podmokły, porośnięty roślinnością bagienną*, 2. *Bagienna łąka*, 3. *Podmokła łąka*, 4. *Zabagniony wyciek wód podziemnych*, 5. *Mokra łąka porośnięta turzycami*, 6. *Zabagniony, zatorfiony obszar, wokół źródła na terenie płaskim lub słabo nachylonym*. W Polsce najczęściej w tej kwestii powiedzą nam w Zakopanem, bowiem w gwarze górali tatrzańskich młaka jest silnie osadzona. Znajomy baca wyjaśni nam, że jest to *miejsce bagniste, podmokłe, zatorfione, a nazwa nie dotyczy jakiegokolwiek wody stojącej*. Każdy baca wie, że owce powinny omijać młakę niczym koronawirus juhasów, bo jest to źródło wszelkich owczych chorób. W myśl bacowskiej instrukcji bagienko ze stałym oczkiem wodnym

po wewnętrznej stronie moreny w Małym Kotle Śnieżnym nie załapuje się na młakę, ponieważ stawek jest zasilany przez mały potoczek. Jest to co najwyżej stawek Sokole Oko na cześć aktualnego pupila KPN – sokoła wędrownego. Nazwa „Młaki” ukazała się na pierwszym wydaniu mapy Karkonosze PPWK z 1958 r., ale nie w Karkonoszach tylko na zach. od Przedniej Kopy w Górach Izerskich. W Karkonoszach pojawiła się w roku 1962 jako nazwa potoczna w monografii KARKONOSZE T.Stecia i W.Walczaka. Dzisiaj mamy cztery karkonoskie bagienka o takiej proveniencji: dwie Młaki i dwa obiekty o nazwie Młaka. Böse Pfütze, czyli złośliwe błoto to Złostna Glibiel, zwana Młaki. M.Sobański w 1951 r. nazwał je Bajorkiem. Młaki w Dużym Kotle Śnieżnym lepiej brzmią jako Skalne Młaki z uwagi na niezwykłą scenerię w jakiej funkcjonują. Młaka w Małym Kotle Śnieżnym to zaledwie oczko wodne o czym była mowa wyżej. I wreszcie młaka pod Smogornią to oczywiście Czarcia Łąka o czym informują nazwy czeska i niemiecka. Hydronim w podklasię higrionimów o motywacji topograficznej. I w ten sposób podsumowałem karkonoskie młaki.

POCHYLNA ŚCIEŻKA

Z końcem XIX w. nie istniała jeszcze droga z Karpacza na Przełęcz pod Śnieżką przez Biały Jar, dumnie lecz bezpodstawnie nazwana później przez nas - Śląską Droga. Pod Śnieżkę chodzono okrężnie przez Polanę i Strzechę Akademicką, a potem od Spalonej Strażnicy. Dla uproszczenia używam współczesnych toponimów. Druga trasa wiodła przez Dolinę Łomniczki, czynna od wiosny do jesieni. Najpewniejszą była jednak Pochylna Ścieżka (Gehänge Weg) prowadząca pomiędzy Białym Jarem a Doliną Łomniczki. Na mapce (TK-M 1885 r.) zaznaczona zielonym kolorem. Straciła na znaczeniu po wybudowaniu linowej kolejki na Kopę. Zaczynała się w Karpaczu przy ul. Leśnej pod Garbem 701 m na wys. ok. 693 m. Stąd dochodziła do budynku IMGW i za nim odchodziła na płd.-zach. do lasu. Po 100 m przekraczała granicę KPN i rozpoczynała 800 metrowe podejście po Starej Fałdzie (Der alte Bruch) do szlaku czerwonego z Orlinka do Doliny Łomniczki. Przecinała szlak na wys. 885 m i mozolnym podejściem po 1750 m osiągała Pochylne Źródła (Gehänge-Brunnen). Trzy źródła na wys. 1265-1240 m dają początek Bystrzykowi w odległości od 30 do 100 m od trasy kolejki na Kopę. Od źródeł, górny 300 m odcinek, ścieżka pokonuje zakosami, wychodząc po wsch. stronie górnej stacji kolejki. Po drodze ścieżka mija od zach. Das Gehänge, czyli Pochylne (stok), a wyżej Pradels Hönige tj. Nawisłe Miody (pas ziołorośli). Od górnej stacji kolejki biegnie na wsch. Ślązaczą Droga nazywaną nietrafnie Śląską Droga i przecina dolinkę o nazwie Nad Rowem Łomniczki na płd. od Łomniczkowego Mostku na Łomnicze, który dawniej znajdował się nieco ponad 100 m dalej na wsch. Wówczas ten odcinek drogi wyglądał inaczej, ponieważ nie istniała sieć dróg zbudowana dla dojazdu na Śnieżkę w okresie budowy 'latających talerzy' na szczycie góry. Za mostkiem ścieżka po 350 m osiągała drogę od Spalonej Strażnicy. Jest to tzw. Droga Rataja zaznaczona na mapce literą „R”. Łącznie z tą drogą Pochylna Ścieżka ma 4,5 km dług. przy przewyższeniu 694 m. Raj dla „wyrzypiarzy”! Zaledwie 100 m za mostkiem ścieżka przekraczała pierwszy prawy dopływ Łomniczki, gdzie 150 m na zach. znajdowało się jego prawdziwe Goldbrunnen – Złote Źródło. Dzisiaj mapy PLAN-u pokazują jego trzecią z kolei lokalizację jako... źródło Łomniczki! Zwracam też uwagę na Am Lomnitzgraben (Nad Rowem Łomniczki), co już zdążono przechrzcić na Jar Łomniczki. Ścieżka za mostkiem wychodziła na skraj Równi pod Śnieżką i dochodziła do obecnej drogi od Spalonej Strażnicy na zach. od Małego Płasku 1398 m, a stąd było tylko 400 m do Przeł. pod Śnieżką 1394 m między Śnieżką a Małym Płaskiem. Na mapach PLAN-u przełęcz tę umieszcza się na miejscu Przełęcz pod Płaskami 1388 m (pomiędzy Wielkim a Małym Płaskiem). Czy jest nadzieja na przywrócenie tej ścieżki turystom? Obawiam się, że... wątpię! KPN odpowie, że są tam cietrzewie skolegowane z bażantami, przelatywał orzeł przedni i kondor (bardzo proszę redakcję o kontrolę nad ostatnią literką tego ptaszka), pląta się rzadki mrówkojad w towarzystwie rysia i tygrysa, a poza tym chodzą słuchy, że nadchodzi słoń trąbalski. Zestawiony hodonim (wianim) o motywacji topograficznej.

PRZEŁĘCZ LUBAWSKA

Gdzie jest ta przełęcz? Wiadomo. Gdzieś koło Lubawy! A Lubawa? To miejscowość w woj. warmińsko-mazurskim w powiecie iławskim na wsch. krańcu ziemi chełmińskiej. Ale poważnie... Dnia 7 maja 1946 r. ukazało się Zarządzenie Ministrów Administracji Publicznej i Ziem Odzyskanych o przywróceniu i ustaleniu nazw miejscowości (MP nr 44 z 19 maja 1946 r.), które miastu o niemieckiej nazwie Liebau in Schlesien ustaliło polską nazwę Lubawka, drugi przypadek: Lubawki i przymiotnik: lubawecki. Miasto leży w Sudetach w pow. kamiennogórskim. Tymczasem trzy lata później w Rozporządzeniu MAP z dnia 28 maja 1949 r. poz. 592 (MP nr 44 z 13 lipca 1949 r.) czytamy w dziale X Brama Lubawska (!) pod nr 469: Przełęcz Lubawska! W ten sposób KUNM złamała własne ustalenia z roku 1946, gdzie przymiotnik od nazwy miasta ustalono jako lubawecki. Sprawdziła się stara zasada; im większa komisja, tym większy bałagan. Prawo Parkinsona

było jeszcze nieznanne... Nie dowiemy się, dlaczego miastu nie ustalono nazwy LUBAWA, a nawet Libawa (wersja czeska: Libava), tylko użyto zaskakującego zdrobnienia? W efekcie mamy zamieszanie z podobnym zdrobnieniem nazwy miejscowości Bukówka, co wyraża się nazwą jezioro Bukówka lub Jezioro Bukowskie, zamiast Zbiornik Bukówecki. Nazwa to nie ostatni problem z tym oronimem. W grę wchodzi również topografia terenu. Okazuje się, że przełęcz leży 6,7 km na południe od Lubawki w ...Czechach i 2,5 km od granicy państwa, pomiędzy miejscowościami Lampertice a Kralovec. KUNM ustaliła polską urzędową nazwę obiektu topograficznego na terytorium czeskim! I niech nikt nie przekonuje, że to tylko spolszczenie, bo wówczas nazwa



Kalna Jama

brzmiałaby Królewiecka Przełęcz. To już jawna kompromitacja państwowej komisji! Przełęcz Lubawska o wys. 531, 540, 554 m (takie wysokości podają źródła czeskie) rozgranicza Góry Krucze i przedgórze Rychorów (polskie określenie: Wzgórza Bramy Lubawskiej). Autorzy hasła „Przełęcz Lubawska” w tomie 8 SGTS zaczynają tekst od zdania: umowne określenie dla przejścia granicznego w Bramie Lubawskiej. Nie wiem, z kim się umówili w tej sprawie, ale ja na szczęście przy tym nie byłem. To jest mało przekonująca próba ratowania prestiżu KUNM. Kiedy wreszcie wysoka komisja połapała się w tym, co zrobiła, polecono „przenieść” (na mapach!) przełęcz na granicę państwa (stąd jej wysokość 516 m), a przejście graniczne nazwać „Przełęcz Lubawska”. Każdy student geografii wie, że w tym miejscu nie ma żadnej przełęczy! W dalszej części tekstu redaktorzy mijają się z prawdą, pisząc, że „właściwa przełęcz” nie posiada nazwy. Posiada i to niejedną! W Czechach funkcjonuje aktualnie nazwa Kralovecke sedlo. Węgierski portal mapire.eu/en/geoname/czechia/przeecz-lubawska-3072943/ podaje ich aż 20! Przypomnę niektóre z nich: Königshainer Pass, Königshaner Pass, Liebauer Pass, Zacler Pass, Žacler Pass, Sedlo Labovske, Libovske sedlo, Przełęcz Lubawecka, Przełęcz Lubawka, Przełęcz Lubawska. W życiu nie napisałem tyle o żadnej przełęczy... Pozostaje jeszcze wyjaśnić, dlaczego piszę o przełęczy, która nie jest w Karkonoszach? Wykorzystałem to, że są geografowie, którzy twierdzą, iż Lubawka to miasto karkonoskie. Zestawiony oronim właściwy z członem odmiejscowym.

SŁONECZNIK

Jedna z najbardziej rozpoznawalnych skał karkonoskich. Wznosi się na wys. 1423 m na pn.-wsch. stoku Smogornii w odległości 700 m od jej szczytu, jako izolowana skała typu tor. Ostaniec został wypreparowany ze zwietrzliny do poziomu niezwiertzałej litej opoki. Formę tworzy mur skalny składający się z kilku przylegających do siebie filarów, z których północny odstaje nieco od całości i przypomina kształtem ludzką postać ponuro patrzącą ponad Przedgórzem Karkonoszy. Całość zbudowana jest z granitu równoziarnistego z fragmentami do 12 m wys. o wymiarach podstawy 30 x 15 m w strefie górnego załomu stoku. Mur zorientowany jest na pn. zgodnie ze spadkiem stoku. Poprzeczne spękania do osi skały odzwierciedlają się w blokowej oddzielności granitu. Kształt skały uzależnia cios ortogonalny w granicie. Szczytowe fragmenty muru są zaokrąglone wskutek procesów wietrzeniowych i posiadają kociołki wietrzeniowe o głębokości ok. 30 cm. Również kociołek w bloku, który odpadł ze szczytu skały ma 20 cm średnicy. Ponieważ skała wyrasta w pobliżu krawędzi kotła Wielkiego Stawu, z jej położeniem wiąże się stare niemieckie podanie o diable, który postanowił zasypać Wielki Staw i zalać Kotlinę Jeleniogórską. Szedł on od Szrenicy Głównym Grzbietem na wschód. Na Wysokiej Płoni zgarnął łapskami porcję kamieni (Śnieżne Kotły), zszedł dziarsko na Czarną Przełęcz i dorzucił jeszcze więcej (Czarny Kocioł). Dotąd szło mu się bez problemów. Trochę postękał i upuścił kamieni, wchodząc na Wielką Górę: stąd Czeskie i Śląskie Kamienie, Małe Kamienie i Kobiora. Prawdziwa męka zaczęła się przy podejściu na Mały Szyszak. Diablisko jęczało i powłóczyło kopytami i ostatkiem sił dowlokło się do krawędzi Wielkiego Stawu, gdzie zdecydowało odpocząć. Zrzuciło z pleców ciężar i oparło się o skały. W tym momencie w podgórskich kościołach zadzwoniono na południowy Anioł Pański i szatan skamieniał.

Po wsch. stronie skały znajduje się kamienna ławka ufundowana w 1906 r. przez trzech członków wrocławskiego oddziału RGV, których nazwiska umieszczono w lustrach na jej oparciu. Pod skałą znajduje się węzeł szlaków. Do Drogi Przyjaźni Polsko-Czeskiej dochodzi z Borowic szlak żółty. SGTS w tomie 3 poświęconym Karkonoszom rozwija taki oto ciąg nazw skały: Mönch, Bürgermeister, Mittagstein, Poledni kámen, Głazy Tetmajera, Głaz Tetmajera, Poledni Kamień, Diabelski Kamień i Słonecznik. Zaczniemy od **urzędowej nazwy Słonecznik** z 1949 r. Pochodzi ona od nazwy rośliny Słonecznika zwyczajnego (*Helianthus annuus* L.) o wys. do 2,5 m, który swój koszyczek kieruje zawsze do słońca. Jego jadalne niełuski zawierają do 38% oleju, co sprawia, że jest uprawiany jako roślina przemysłowa i ogrodowa (ozdobna). Inne nazwy rośliny: niem. Sonnenblum, cz. Slunečnik, ang. Sunflower. Tymczasem nazwy niemiecka i czeska oznaczają Południowy Kamień. Dla mieszkańców podkarkonoskich wsi pracujących w polu, słońce stojące nad skałą oznaczało południe. W 1942 r. z okazji osiemdziesiątej rocznicy urodzin noblisty Gerharta Hauptmanna RGV przemianowało nazwę skały na Gerhart-Hauptmann-Stein, ale z uwagi na czas wojny nazwa nie miała żadnych szans na upowszechnienie. Po wojnie, w nawiązaniu do tego faktu, próbowano nadać nazwę Głaz Tetmajera, co nie zyskało aprobaty turystów i KUNM. Jeszcze dziwniejszą okazała się polska nazwa Poledni Kamień (hybryda polsko-czeska) na „Mapie turystycznej Karkonoszy i okolic Jeleniej Góry” z 1946 r. Można więc śmiało określić polskie nazwy tej skały mianem dziwadła, nie wyłączając nazwy urzędowej. Tetmajer w Karkonoszach zalatuje na odległość ciągotami tatrzańskimi, skoro powojennym nazewnictwem zajmowała się komisja powołana przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie pracująca pod egidą Mieczysława Orłowicza. Nie ulega wątpliwości, że skała powinna nosić historyczną nazwę **Południowy Kamień**, ale Komisja Ustalania Nazw Miejscowości (!) dała niejedyn dowód na rozpoczynanie tradycji od nowa. Petronim o motywacji topograficznej.

WYSOKA PŁONIA

A gdzie to jest? Wbrew pozorom miejsce znamy wszyscy, bo każdy był na Śnieżnych Kotłach od góry. Jeżeli zapytać gdzie leżą Śnieżne Kotły to chór głosów odpowie: pomiędzy Wielkim Szyszakiem a Łabskim Szczytem. O ile Śnieżne Kotły mają wiele wspólnego z Wielkim Szyszakiem to nic ich nie łączy z Łabskim Szczytem, od którego oddziela je Górna Nisza (Łabski Kociołek!) oraz dolina Górnej Kochli (Bystry Potok!). W tym określeniu ginie nam góra, którą dawno dostrzegli Czesi nazywając ją na swoich mapach **Vysoka Plaň 1490 m**. Najwyższy czas adaptować tę nazwę jako nazwę przeniesioną (z innego kraju). Dla Czechów to pn.-wsch. skraj Tabulovej Plani, a dla nas „zagubiona” góra, którą zdewastował od pn. lodowiec, tworząc Mały Kocioł Śnieżny. Czeska plaň to polska płonia. Miejsce gołe nieporosłe krzewami, nieurodzajne, niezdatne pod uprawę. Podobny termin *płon* oznacza dziurę w lodzie (nie przerębel!), miejsce niezamarzłe na jeziorze, stawie czy rzece. Czeska plaň, planina to z psł. poln’a, polnina – równy, nieporosły, stromy. Niemców intrygowała raczej dzika krawędź kotłów, a nie przydatność do upraw, stąd Grubenränder – kotłowa krawędź, skraj. Większa odporność granitów Wysokiej Płonii spowodowała powstanie mniejszego karu, a zwłaszcza wyodrębnienie skalnej grani w postaci Grzędę. Szczyt Wysokiej Płoni znajduje się od pld. tuż za skałą o nazwie... no właśnie. Najpierw były nazwy Grubenstein i Grubenhaufe, czyli kotłowa skała i kotłowy stóg. Potem pojawiła się nazwa Rübzahls Kanzel, co z Gebirgsdialekt da się przełożyć na Karkonoszową Kancelarię, dzisiaj w literackiej niemieźźnie tylko kazalnicy. Wzrastający z końcem XIX w. ruch turystyczny wywołał następną nazwę Teufelskanzel – Czarcia Ambonę, bo dla niemieckich piwoszy wszystko co niezrozumiałe miało czarci śwąd. Nazwa sugerowała również diabelskie kazania i w tej materii była prorocza, na co Niemcy musieli poczekać jeszcze 40 lat. pomiędzy szczytem Wysokiej Płoni a Grzędą stoi dawne schronisko, obecnie stacja przekątnikowa TV. Obiekt dostępny tylko w warunkach skrajnie niebezpiecznej pogody. Zestawiony mikrooronom o motywacji topograficznej.

Jerzy K. Bieńkowski



Droga Rataja i Kacze Doły (w głębi)

Wilcza Równia to jest Wilcze Rozdroże

W Sudetach Środkowych, w Górach Bardzkich, ściślej w Grzbiecie Zachodnim tych ostatnich – pomiędzy Lichajówką (610 m n.p.m.) i odnogą Wilczej Góry (663 m n.p.m.) znajduje się przełęcz (588 m n.p.m.) i skrzyżowanie leśnych dróg. Na mocy Rozporządzenia Ministra Administracji Publicznej z dnia 28 maja 1949 r. o przywróceniu i ustaleniu nazw miejscowości (Monitor Polski z 1949 r., nr 44, poz. 592) wspomniana przełęcz – określana wcześniej po niemiecku jako Gr. Wiltscher Scheibe – uzyskała polską nazwę Wilcza Równia. Przez pewien czas tą ostatnio wymienioną nazwą określało się to miejsce. Później zaczęto je nazywać chyba częściej Wilczym Rozdrożem. Swoją drogą to jeszcze nie komplet nazw przypisywanych do tej przełęczy. Jest bowiem też inna oboczna nazwa tego miejsca – Wilcza Wiata. Ta ostatnia jednak chyba praktycznie nie jest używana. Współcześnie przełęcz tę zwie się bodaj najczęściej Wilczym Rozdrożem. Moim zdaniem, drugi wyraz zarówno w jednej jak i w drugiej wymienionej w tytule nazwie dość trafnie oddaje cechy charakterystyczne tego miejsca. Dlaczego? Jak wspomniano wyżej faktycznie znajduje się tam skrzyżowanie leśnych dróg – zasadne jest więc określenie Wilcze Rozdroże. Mniej więcej środek samego rozdroża to – współcześnie nieporośnięty trawą – dość szeroki i dość płaski teren otoczony z kilku stron lasem. Oczywistym jest, że okoliczne zbocza górskie – miejscami strome – wyraźnie odróżniają się od krajobrazu nieco płaskiego środka rozdroża. Tak więc również nazwa Wilcza Równia nawiązuje do cechy charakterystycznej tego miejsca. W sąsiedztwie przełęczy – już na zboczu odnogi Wilczej Góry – znajduje się niewielka pięknie się prezentująca polana. Urozmaica ona krajobraz tutejszych górskich lasów.

Co się tyczy natomiast pierwszych członów nazw omawianej przełęczy (Wilcza Równia, Wilcze Rozdroże, Wilcza Wiata) – no cóż, w tej części Gór Bardzkich nazw, które kojarzyć się mogą z wilkami, nie brakuje. Czy faktycznie wszystkie one nawiązują do wilków czy też inna jest ich geneza – to już, też inna, kwestia.

Tytułowe miejsce od dawna miało mieć znaczenie komunikacyjne. Zanim powstała szosa wiodąca przez nieco niżej leżącą Przełęcz Wilczą (535 m n.p.m.), miejscowości noszące współcześnie nazwy Żdanów i Wilcza połączyła droga biegnąca przez tytułową przełęcz. Może w XXI w. trudno w to uwierzyć – trasa prowadziła górkami zboczami, zataczając też ostre zakręty, ale tak miało być. W dzisiejszej epoce doskonale widać, że górne zabudowane części wsi Wilcza i Żdanów leżą poza szosą biegnącą przez Przełęcz Wilczą, a jednocześnie zajmują one spore fragmenty pięknych dolin, odpowiednio Wilczej – w miejscowości Wilcza i Budzówki – w Żdanowie. Doliny wymienionych cieków, a tym samym przywołane ostatnio wsie, miała łączyć wcześniej stara droga przebiegająca właśnie przez tytułową przełęcz.

Jak wygląda zachowany współcześnie odcinek drogi – tej, o której mowa w poprzednim zdaniu – pomiędzy rejonem zabudowań wsi Żdanów i przywołaną w tytule przełęczą? Zaczyna się on w górnej zabudowanej części Żdanowa na wysokości nieco ponad 450 m n.p.m. Asfaltowa tam jeszcze droga – tak jak biegnący tamtędy, a prowadzący także m.in. przez tytułową przełęcz szlak konny – prowadzi początkowo wśród zabudowań ostatnio wymienionej wsi. W pewnym miejscu przy jeszcze tu asfaltowej drodze znajdują się kamienne białe słupki z wymalowanymi czerwonymi paskami. Droga zatacza zakręt – patrząc od dołu – w prawo i osiąga z lewej linię lasu. Trochę dalej asfalt się kończy. Odtąd droga ma nawierzchnię gruntową, nieco utwardzoną osadzonymi w pewnej części w podłożu skalnymi odłamkami. W pewnej części – niektóre z odłamków leżą bowiem luźno na drodze. Mniej więcej jej środkiem – jak to bywa na gruntowych drogach – biegnie wąski pas trawy. Nieco za miejscem, gdzie kończy się asfalt – a więc już przy gruntowej, jednak solidnie utwardzonej tu odłamkami skalnymi drodze – stoi metalowy słupek z tablicą. Na wspomnianej tablicy widnieje napis koloru czarnego o treści „Żdanów” oraz czerwona linia go przekreślająca. Patrząc



Wilcza Równia to jest Wilcze Rozdroże

na ten słupek od strony tytułowego miejsca, widzi się natomiast zamieszczoną u góry tablicę z figurującym na niej napisem koloru czarnego „Żdanów” – tyle tylko, że bez wspomnianego przekreślenia. Niżej widoczny jest z kolei znak. Ten ostatni można opisać następująco – czerwona obwoluta i białe tło pośrodku, a na tym tle napisy: „3,5 t Nie dotyczy transportu rolnego”. Po drugiej stronie drogi znajdują się w tym miejscu przy niej dwa kamienne słupki pomalowane na biało z czerwonymi paskami – takie, jak znajdujące się przy niżej biegnącym asfaltowym jej odcinku. Tu też droga wkracza na dobre w las. Zatacza kolejne zakręty, wiodąc coraz wyżej. W pewnym miejscu znajduje się na niej szlaban w barwach zielonej i białej. Nadal, podobnie jak na niżej biegnącym odcinku drogi, na jej środku rośnie trochę trawy. Odcinków bez niej jest mniej. Gdzieniedzie na drodze nie ma utwardzenia skalnymi odłamkami – przynajmniej wspólnie widać w takich miejscach tylko gruntowe podłoże. Leśna droga trawersuje górskie, miejscami dość strome tu zbocza, zataczając kolejne spore zakręty, w tym bardzo ostry wiraż. Wreszcie dość wąska droga, wiodąc nadal pod górę, doprowadza do tytułowego miejsca.



Tablica i znak przy drodze łączącej tytułowe miejsce z rejonem zabudowań Żdanowa, o których mowa w tekście

Jak wspomniano – droga ta to niejedyna, która wiedzie na tytułową przełęcz. Wspomniany szlak konny to też niejedyny znakowany szlak prowadzący przez to miejsce. Atrakcyjnym jest choćby jedyny pieszy znakowany szlak turystyczny przebiegający przez przywołaną w tytule przełęcz. Mowa o żółtym szlaku łączącym Przełęcz Wilczą z miejscem określanym jako Czeski Las. Przy okazji warto tu zaznaczyć, że przez Przełęcz Wilczą przebiega niebieski szlak E3, natomiast przez Czeski Las – czerwony Główny Szlak Sudecki.

Z odcinka wymienionego żółtego szlaku między Przełęczą Wilczą i tytułową przełęczą da się punktowo zobaczyć interesujące panoramy części Ziemi Kłodzkiej m.in. z fragmentem Masywu Snieżnika. Natomiast z kolejnego etapu żółtego szlaku – pomiędzy tytułowym miejscem i Czeskim Lasem, można – jednak tylko miejscami, zza drzew – dojrzeć np. fragment srebrnogórskiej twierdzy na Warownej Górze.

Twierdzę tę da się jednak zobaczyć także tuż spod samej Wilczej Równi, no... bodaj zwanej częścią Wilczym Rozdrożem. Taki widok można – wprawdzie z trudem z uwagi na gałęzie drzew, ale jednak – wypatrzyć, znajdując się na początkowym odcinku opisanej drogi łączącej tytułową przełęcz ze Żdanowem. Dodatkowo można stamtąd dostrzec – a jakże, też z trudem z uwagi na przysłaniające widok gałęzie drzew – fragment Fortu Ostróg na górze o nazwie Ostróg. Dużo łatwiej – także stamtąd – dojrzeć można za to w dole fragment Przedgórza Sudeckiego. Zresztą da się na to ostatnie popatrzeć też i z innego miejsca w rejonie tytułowej przełęczy.

W rejonie Wilczej Równi..., oczywiście zwanej też Wilczym Rozdrożem, da się zobaczyć i znaki tras rowerowych. Przełęcz ta zapisała się też w dziejach sudeckiego narciarstwa. Przeprowadzono tędy bowiem także trasę narciarstwa biegowego.

Jak widać turystycznych tras do tytułowego miejsca trochę wiedzie. Planując górskie wycieczki w tej części Grzbietu Zachodniego Gór Bardzkich, warto wziąć pod uwagę choćby wspomniany żółty szlak, którym będziemy mogli przybyć na tytułową, godną wszak zobaczenia, przełęcz. Mimo że nie jest ona słynną atrakcją turystyczną, to bez wątpienia jest jakąś atrakcją krajoznawczą.

Bartosz Skowroński



Wiraż drogi łączącej rejon zabudowań Żdanowa z Wilczą Równią, zwaną Wilczym Rozdrożem

W Zaworach

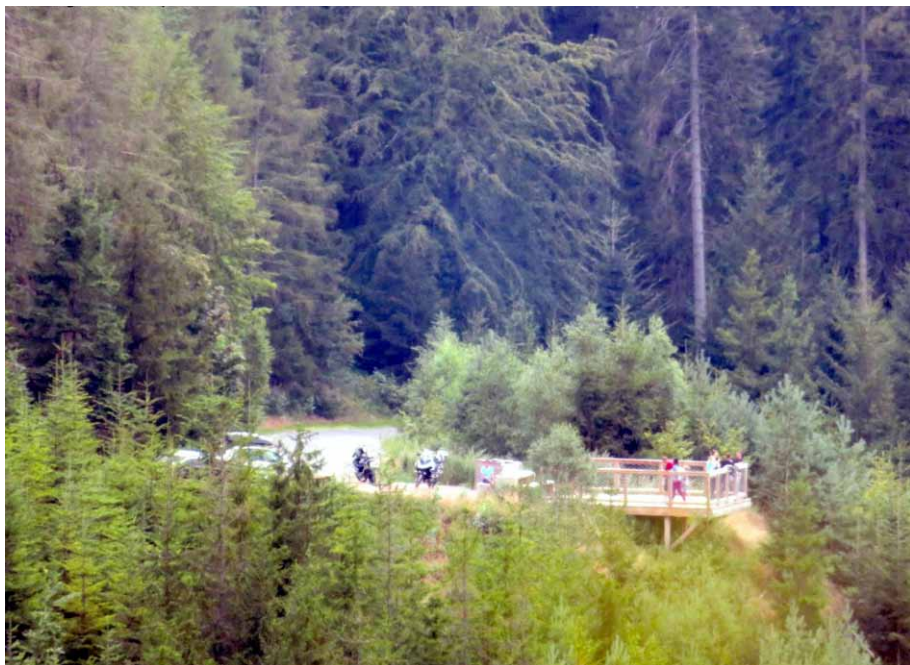
Jest sierpniowe niedzielne przedpołudnie. W telewizji słyszę, że w czasie pandemii Covid-19 na Śnieżkę wchodzi 10 tysięcy turystów dziennie. Na szczęście ruszam w zupełnie inną stronę. Ponieważ mam do odwiedzenia chorego znajomego w okolicy, po spełnieniu dobrego uczynku jako cel wycieczki wybieram Góry Stołowe. W związku z tym, że najpopularniejsze miejsca w Górach Stołowych jak ich najwyższy szczyt – Szczeliniec Wielki (919 m n.p.m.) czy Błędne Skały (853 m n.p.m.) są również zatłoczone (o czym dowiaduję się z portalu społecznościowego), udaję się na północny kraniec Gór Stołowych – w Zawory. Moim celem jest Róg (715 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Zaworów, przez które przebiega granica zlewisk mórz Bałtyckiego i Północnego.

Aby dotrzeć na Róg, jadę odnowionym fragmentem Drogi Sudeckiej prowadzącym z Chełmska Śląskiego do Łącznej, wykonanym w latach 30-tych XX wieku przez Służbę Pracy Rzeszy (Reichsarbeitsdienst) oddział 115/4 z Mioszowa (Friedland). Zatrzymuję samochód na parkingu na Strażniczym Narożu (649 m n.p.m.) przy granicy powiatu kamiennogórskiego (gmina Lubawka) z wałbrzyskim (gmina Mioszów). Na parkingu stoją tylko 3 samochody, jest więc dużo miejsca.

Po drugiej stronie drogi widzę słupek graniczny, bo przebiega tu także granica polsko-czeska. Obok słupka granicznego stoi drogowskaz. Z drogowskazu wyczytuję, że można stąd się dostać w pół godziny pieszo szlakiem żółtym do wsi Chełmsko Śląskie. Jest to dawne miasto, w którym warto zobaczyć rynek, kościół pw. św. Rodziny, zespół drewnianych domów tkaczy śląskich o nazwie „12 Apostołów” czy jednego z „7 Braci”.

Z kolei szlak zielony wiedzie od Strażniczego Naroża w kierunku Mioszowskich Ścian przez wieś Łączna. W Łącznej godne uwagi są Czarotowskie Skały i ogród zoologiczny.

W drugą stronę szlakiem zielonym dostaniemy się Hraničnim hřbetem przez szczyty Zielonka (701 m n.p.m.), Stražnice (696 m n.p.m.) i Skałka (677 m n.p.m.) do Okrzeszyna. Po drodze możemy skręcić w lewo i udać się pieszo do rezerwatu przyrody „Adršpašsko-teplické skály” zwanego popularnie „Skalnym Miastem”, również przeżywanego teraz „oblężenie” przez turystów. W samym Okrzeszynie warto zaś zobaczyć kościół pw. Narodzenia NMP, późnobarokowy dwór, ruinę kościoła cmentarnego pw. św. Michała z XVI wieku czy pozostałości dawnych kopalń węgla i uranu



Platforma widokowa na zboczu Zielonki

Fot. Zbigniew N. Piepiora



Na Rogu (715 m n.p.m.)

(Zakłady Przemysłowe R-1 w Kowarach – Rejon 3).

Mnie interesuje szlak czerwony, który prowadzi ze Strażniczego Naroża na Róg. Podążam więc nim. Idę leśną drogą. Już po 5 minutach marszu widzę przedsmak tego, co nastąpi – piękną panoramę. Nie delectuję się nią jednak teraz. Wędruję dalej. Docieram do skrzyżowania ze szlakiem niebieskim, który w dół prowadzi do kaplicy św. Anny i kalwarii – pamiątek z czasów, gdy Chełmsko Śląskie było wraz z Lubawką i kilkudziesięcioma wsiami własnością cystersów z Krzeszowa.

Skręcam ostro w prawo. Teraz nadszedł czas na mocne podejście. Wchodząc, przecinam single track. Szlaki czerwony i niebieski wiodą mnie do leśnej drogi. Skręcam zgodnie z oznaczeniami szlaków w lewo i jestem na szczycie Rogu. Warto zauważyć, że Róg znajduje się w wykazie wierzchołków do odznaki Diadem Polskich Gór ustanowionej przez Oddział Wrocławski PTTK.

Zarówno po drodze na Róg jak i na szczycie nie spotykam nikogo, delectuję się więc piękną panoramą. Od lewej widać parking na zboczu Zielonki przy drodze do Chełmska Śląskiego i platformę widokową, na której jest kilka osób. Dalej można zaobserwować Góry Krucze z kulminacją Královeckého Špičáka (881 m n.p.m.). W tle pojawiają się Karkonosze z dominantami w postaci Černej hory (1299 m n.p.m.) i Śnieżki (1603 m n.p.m.), a dalej po prawej – Rudawy Janowickie ze Skalnikiem (945 m n.p.m.) – najwyższym szczytem tego pasma.

Po chwili odpoczynku i konsumpcji wody mineralnej nadchodzi pora na zejście. Decyduję się skrócić trasę i schodzić single trackiem. Jest to ryzykowna decyzja, bo zbocze jest strome i niestabilne. W tym momencie przydaje mi się umiejętność wędrowania po niestabilnych zboczach, którą nabyłem rok temu podczas stażu naukowego na Spitsbergenie, kiedy wędrowałem po młodych, kształtujących się górach na Ziemiach Bünsowa i Dicksona.

Skrócenie trasy powrotnej single trackiem zostaje zwieńczone sukcesem. Schodzę do drogi leśnej, którą szedłem wcześniej. Tu spotykam 3 osoby – rodzinę z Czech. Szlakiem czerwonym wracam do Strażniczego Naroża, gdzie zaparkowałem mój samochód.

Wycieczka zajmuje mi niecałą godzinę, a pokonany dystans to 2,5 km. Nie jest to wielkie osiągnięcie, jednak jeśli ktoś zbiera wierzchołki do odznaki Diadem Polskich Gór, powinien to sobie wpisać do CV, a właściwie – do książeczki wycieczek.

Fot. Zbigniew N. Piepiora



Fragment panoramy z Rogu

Fot. Zbigniew N. Piepiora



Královecký Špičák (881 m n.p.m.) i Černá hora (1299 m n.p.m.) z Rogu

Zbigniew N. Piepiora

„Maguranka” z nadzieją na normalność

Nieczęsto w dobie panującego wirusa zdarza się możliwość oglądania występu zespołu folklorystycznego na żywo, a już z terenu przygranicznego naszego południowego sąsiada prawie w ogóle. I stało się! W Leśnicy pienińskiej – na plenerowej scenie Chaty Pieniny 13 lipca 2020 r. - wystąpił przed gośćmi zespół ze Spiskiej Starej Wsi „Maguranka” znany z prezentowania folkloru Zamagurza Spiskiego, ale jak się okazuje nie tylko.

„Maguranka” założona została w 1980 r. przy zakładzie Tatrasvit przez Darinó Veličkovú i Viktorom Majerikom. Po krótkim rokującym rozwoju zespół rozpadł się wraz z upadkiem zakładu pracy. Reaktywował się w 1996 przy ichniejszym Miejskim Ośrodku Kultury w Spiskiej Starej Wsi pod kierownictwem Petra i Dariny Zelinových, we współpracy z Viktorom Majerikom (niestety, już nieżyjącym).

Zespół prezentuje bogaty folklor Zamagurza Spiskiego, ale nie tylko, gdzie od dziesięciu lat rozszerzył swój repertuar o tańce z okolic Zemplina (wschodni region Słowacji). Występował na festiwalach folklorystycznych we Francji, Grecji, na Węgrzech i oczywiście w Polsce, zdobywając wyróżnienia i nagrody.

Towarzyszy im zwykle muzyka, czyli l’udova hudba „Flisok” pod kierownictwem Milana Želonku. W Leśnicy wystąpili w okrojonym składzie: Adam Dlhý na basach i Domonik Rušin na akordeonie, zwykle jeszcze gra z nimi na skrzypcach Ondrej Šromovský.

Tańczą i śpiewają, ciesząc się z tego, co robią, a tym samym taką spontanicznością przywabiają oglądającą ich publiczność, tak było i w Leśnicy, gdzie dziewczęta schodząc ze sceny wciągały do wspólnej zabawy.

Gdy wdąłem się w rozmowę z Peterem Zelina, podkreśliłem ten fakt, że się nie zmieniają, są radośni podczas występu, co podoba się publiczności. Uśmiechnął się i powiedział, że ich celem jest: „robit’ l’ud’om



Maguranka śpiewa...



...i tańczy...

radost”, to chyba nie wymaga tłumaczenia.

W „Magurance” przez lata występujący zmieniają się jak w każdym innym zespole ludowym, to naturalny objaw. Jak wymownie powiedział Peter, u nich: „každý kto má chut’ si zatancovat’ a či zahrat” to może. Śpiewają i mówią po spisku, bo gwara po tej i tamtej stronie jest ta sama, więc po co ta granica?

Nie wiem, kiedy nadarzy się kolejna okazja zobaczenia na żywo „Maguranki” jak i każdego innego zespołu z Podhala, Orawy, Spisza czy Pienin w tych trudnych cza-



...spontanicznie...



sach. Występ był spontaniczny, wiadać było, że i członkowie zespołu dość mają izolacji i braku kontaktów z publicznością. Oby jak najszybciej życie wróciło do normalności i rozdziły się okazje.

Ryszard M. Remiszewski

...i żywiółowo

Co to jest zgęstek?

Radość – w gminie, będzie... klaster

Mam wyższe wykształcenie, ale jak usłyszałem słówko k l a s t e r to pobiegłem po słownik języka obcego. Okazuje się, że nieznanne mi (choć już dożyłem tzw. słusznego wieku) określenie oznacza **zgęstek**. Słownik mówi, że to jest zgrupowanie przestrzenne lub **powiązanie systemowe mniejszych obiektów w jeden większy**. Z ośmiu słownikowych przykładów ani jeden nie ma związków z turystyką, krajoznawstwem, gastronomią, hotelarstwem, ani pomnożeniem dochodów w gospodarce gminy.

Nawet tak ambitnej i z dorobkiem w wielu dziedzinach jak gmina Łącko w powiecie nowosądeckim. A ponadto każde z 16 sołectw tej gminy ma swoje osiągnięcia, także w gospodarce turystycznej. Do czego więc potrzebny jest ten klaster??? Do wyjaśnienia tajemnicy konieczne jest poznanie inicjatywy o jeszcze bardziej egzotycznej, a nawet starożytnej nazwie „Knossos Północy”.

Wypada zatem dowiedzieć się, co to jest ten / to / ta Knossos. Znowu potrzebny słownik. To jest miejscowość na greckiej wyspie Krecie, gdzie mieszka tylko 300 osób, a archeolodzy w latach 1899–1905 odkryli ruiny wspaniałego pałacu sprzed 2–1,5 tysiąca lat i to przed naszą erą !!!

Jak w dziecięcej zabawie trzeba szeptać: ciepło, ciepło, ciepło...dlatego, że w gminie Łącko jest wieś **Maszkowice** gdzie w 2010 r. archeolodzy z Uniwersytetu Jagiellońskiego znaleźli **kamienną bramę fortyfikacji** pochodzących z ok. 1750 r. też przed naszą erą, czyli z wczesnej epoki brązu. Wiele wskazuje, że była to zapomniana bardzo dawno temu warownia obronna. Czego strzegła? Szlaku handlowego, osiedla pogranicznego, może nawet miasta, po którym też nie ma nawet śladu.

A więc w Małopolsce niespodzianie mamy swojskie, polskie, małopolskie – Knossos. **I to znacznie starsze niż wszystkie warownie i zamki, jakie dobrze znamy z położenia nad Dunajcem.** Zatem w gminie radość wielka. Wykopalska trwają, przybywa wiedzy o tajemniczych kamiennych ruinach na Górze Zyndrama. Jej nazwa wiąże się ze sławnym bohaterem z powieści „Krzyżacy”- Zyndramem z Maszkowic właśnie.

Ten znakomity rycerz herbu Słońce, oboźny koronny, dowódca chorągwi krakowskiej zasłużony w bitwie pod Grunwaldem w lipcu 1410 r., utrwalony na wielkiej matejkowskiej panoramie ilustrującej narodową historię, właśnie z nadania królewskiego miał siedzibę w Maszkowicach. Ale tylko „podobno”, bo należy od razu dodać – nie ma wiarygodnych dowodów, że była to warownia, której odkryte ruiny obecnie badają archeolodzy.

Polskie, małopolskie, sądeckie i łąckie Knossos jest porównywane do podobnej warowni w chorwackiej Istrii nad Adriatykiem, czyli dość daleko od Polski. Ale dzięki temu odkryciu gmina Łącko zamierza zrobić wielki, historyczny interes. Żeby było ciekawiej nazwano go klaster, a na dokładkę „Knossos Północy”. Zamiar ten przybrał z inicjatywy regionalnej Fundacji Sądeckiej i władz gminy Łącko formę umowy o utworzeniu Szlaku Kulturowego o takiej właśnie nazwie. Nie da się ukryć, że to nazewnictwo pachnie reklamiarstwem i przypomina nadymanie balonu lokalnych ambicji.

Umowę o utworzeniu klastra podpisało w Łącku w czasie wielkiej – z tej okazji – uroczystości 19 czerwca 2010 r. aż 16 notabli z gmin nowosądeckich oraz znaczących firm, a także sławnych łąckich gospodarstw sadowniczych, agroturystycznych, ośrodków kultury, hoteli, restauracji oraz centrum pielgrzymkowego i schronisk turystycznych. Nic dziwnego, każdy chce przy «ogniu» maszkowickiej warowni sprzed wielu wieków upiec swoją pieczeń (by nie powiedzieć... grilla). Anonimowy pozostaje autor nazwania na początku dość niezrozumiale łąckiego zabytku i porównania go do tego, także bardzo starożytnego, na greckiej wyspie.

Zatem pora na «kawę na ławę» – o co chodzi w tym obco nazwanym przedsięwzięciu z wielkimi nadziejami na dobry interes przez wiele następnych lat. Niezależnie od wycieczek, które już teraz tłumnie ciągną na Wzgórze Zyndrama, gdzie bezpłatnie można podziwiać olbrzymią odkrywkę i poznać wnioski archeologów o znalezieniu **unikatowej w skali światowej kamiennej ruiny starożytnej warowni.**

Po co takie zadęcie? Na to pytanie w obszernym wywodzie wyjaśnia Tomasz Kowalski – naczelny redaktor miesięcznika regionalnego „Sądeczanin” (nr 7(143) lipiec 2020). *Cechą wspólną wszystkich członków [członów?] klastra jest zainteresowanie rozwijaniem rynku usług z zakresu turystyki historycznej i kulturowej oraz czynne wspieranie tego segmentu rynku usług turystycznych [...] Wzrośnie poziom innowacyjności przedsiębiorstw, jak również poszerzony zostanie zakres proponowanych przez przedsiębiorców usług szczególnie o charakterze innowacyjnym [drażni żargon o cechach biurokratycznego bełkotu]*

I dalej uzasadnia: *Podstawowym obszarem specjalizacji klastra jest stworzenie i rozwój Szlaku Kulturowego „Knossos Północy” [który] może się przyczynić do upowszechnienia historii i kultury historycznej Sądeczyny. Przewidziane jest [...] powstanie szlaku wraz z wytyczeniem tras rowerowych obejmujących sądeckie gminy, wizualizacja 3D grodów, zamków i ich ruin oraz rezerwatów i atrakcyjnych miejsc o znaczeniu historycznym, podejmowanie współpracy z jednostkami samorządu terytorialnego, [...] lokalnymi organizacjami turystycznymi i organizacjami pozarządowymi działającymi w sferze turystyki, integrację przedsiębiorstw z branży turystycznej wokół wspólnego produktu turystycznego, jakim będzie Szlak Kulturowy [...] systematyczne kontrolowanie i monitoring [czyli to samo] standardów obiektów i tras na Szlaku...*



Jakby tego było mało to jeszcze klaster i Szlak ma rozwijać wiedzę Polaków o Małopolsce, jej historii, kulturze oraz propagować aktywne formy spędzania czasu. Oczywiście klaster będzie miał swoją stronę internetową i aplikacje do wyszukiwania tras rowerowych i innych ważnych informacji turystycznych, a ponadto [...] *działania informacyjno-promocyjne klastra* będą nieść ze sobą walory edukacyjne i przysłużą się promowaniu *aktywnych postaw sportowych wśród Polaków w każdym wieku, jednocześnie przeciwdziałając otyłości i spadku aktywności ruchowej wśród Polaków w każdym wieku, ze szczególnym naciskiem na dzieci i młodzież oraz osoby starsze.*

Uff, odetchnijmy chwilkę po tym wywodzie, czym ma być ten klaster. Wygląda na to, że przypisuje się mu już zanim zaistniał rolę panaceum (to inaczej lek na wszystko, którego od tysiącleci poszukują alchemicy). Ale nie takie klastry już na Sądecczyźnie próbowano wdrożyć, choćby ten sławny, zaprzepaszczone przez nieudolnych polityków, samorządowy wszechstronny „eksperyment sądecki» z lat 1958–1964.

Tak w dużym skrócie wygląda droga do sukcesu klastra sądeckiego o nazwie „Knossos Północy”. Podpisali się pod tym projektem, a nawet uchwalili wspólne działania, wojewoda małopolski, wójtowie kilku gmin na czele z łąckim, burmistrzowie kilku miast, na zasadzie «duży może więcej», a dawniej wołano «kupą mości panowie». Nie pozostaje mi nic do dodania poza sakramentalnym «szerokiej drogi do sukcesu klastra» i tradycyjne życzenie z tego regionu «niech wam się darzy», a poza tym «mierz siły na zamiary», a nie odwrotnie. A na dodatek biblijne – «po owocach ich poznacie»...

Tomasz Kowalik

CYTAT MIESIĄCA

Autor : Krzysztof Baraniak

tytuł: **Turyści odpalili race nad Morskim Okiem**

Często się zastanawiam, czy ludzie wypowiadający się w rozmaitych mediach, czy to w prasie, czy to w elektronicznych, zawsze wiedzą co mówią, co piszą, jakie jest znaczenie słów i zwrotów użytych w wypowiedzi. Coraz częściej dochodzę do konkluzji, że w wielu przypadkach bądź nie wiedzą, co mówią, bądź nadużywają słów. Oto na portalu TATROMANIAK pojawił się materiał, którego autorem jest wyżej wymieniony. Właściwie można dalej nie czytać, mi wystarczył ten tytuł. Chociaż... zacytuję fragment tekstu: „*Idąc prawą stroną od schroniska Morskie Oko, zobaczyłam, że grupka turystów przebywa w miejscu z zakazem wstępu, przy wodzie. Dochodząc do miejsca, w którym przebywała młodzież, zauważyłam, że odpalili race i robią sobie zdjęcie*” - to relacja Agnieszki, wolontariuszki TPN zamieszczona w tekście.

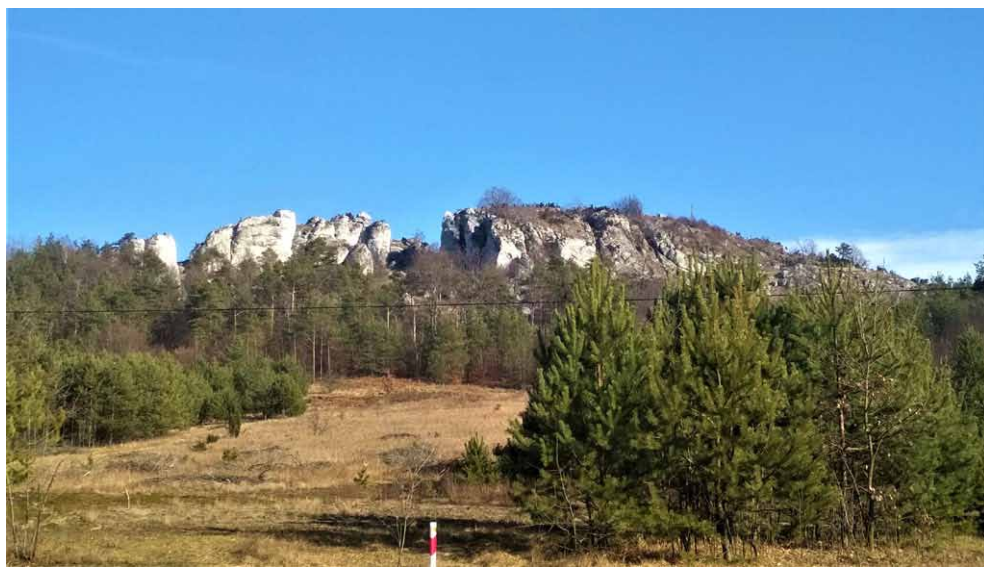
Kolejny raz obrażani są prawdziwi turyści, którym (w znaczeniu ogólnym) przypisuje się niewłaściwe, złe, głupie, naganne zachowanie. Z treści materiału wynika, że to studenci z Ukrainy weszli na niedostępny teren nad Morskim Okiem i odpalili race. Dlaczego zatem autor nie napisał wytłuszczonym drukiem **Studenci z Ukrainy odpalili race nad Morskim Okiem**. Czy chodziło o tzw. poprawność polityczną czy bezmyślne użycie słowa „turyści” w kontekście, w jakim tego słowa używać nie należy? Nie mam nic do studentów z Ukrainy, nie mam żadnych uprzedzeń, wspominam bardzo pozytywnie swoją wyprawę do Lwowa i w Czarnohorę w 1992 roku, rok po uzyskaniu niepodległości przez Ukrainę. Ale, do jasnej ciasnej, szanowny autorze, zanim coś napiszesz – pomyśl. Jestem turystą z ponad 50-letnim stażem turystycznym i nie życzę sobie używania słowa „turyści” w odniesieniu do chuliganów, śmieciarzy, wandalów, osób bezmyślnych, zachowujących się niewłaściwie, hałasujących, wchodzących do schroniskowych jadalni z gołym spoconym torsem, myjących zabłocone buty w schroniskowej łazience, itd. itp. To nie są turyści. Całkowicie zaś nie rozumiem, dlaczego taki tytuł znalazł się na portalu „Serwisu Miłośników Tatr”. Gdzie jak gdzie, ale w takim serwisie chyba udzielają się autorzy potrafiący rozpoznać, kto jest turystą, a kto nie. Tu apel do osób mówiących i piszących publicznie, także do w/w pana Krzysztofa: NIE OBRAŻAJCIE TURYSTÓW! NIE KAŻDY, KTO ZNALAZŁ SIĘ NAD MORSKIM OKIEM CZY GDZIEKOLWIEK W GÓRACH JEST TURYSTĄ. Do wójta z tym nie pójdziemy, ale zanim napiszemy o turystach – pomyślmy.

Juliusz Wystouch

Jura w czasach zarazy. Część I: Tuż przed

Tytuł sam się narzucił. Nawiązuje oczywiście do Gabriela G. Márqueza. Ale chodzi o zarazę, nie o miłość. O zarazę funkcjonującą pod nazwą COVID-19. Jeszcze pół roku temu nikt z nas nie byłby w stanie wyobrazić sobie, jaki wpływ na... Chciałem napisać „Wpływ na turystykę”, ale przecież chodzi tu o wpływ na wszystko, na cały nasz realny świat! Czyli na turystykę również. A więc, do niedawna nikt z nas nie byłby w stanie wyobrazić sobie, jaki wpływ na ten świat może wyrzucić mikroskopijna forma życia w postaci drobiny białka, otoczona cienką lipidową błoną. Jeszcze kilka miesięcy temu byliśmy przekonani, że rozpoczynający się rok będzie okresem kolejnych wielkich podróży, poznawania odległych zakątków świata, realizacji snu tych od lat planów. Jeszcze nie tak dawno zakreślaliśmy w kalendarzu daty pierwszych wiosennych wyjazdów w góry, potem nad wodę. Rezerwowaliśmy bilety na wakacyjne loty i miejsca noclegowe „w najlepszych lokalizacjach”. Póki jeszcze taniej!

Na początku lutego wydawało się nam, że ten koronawirus nas w ogóle nie dotyczy. Abstrakcja! Chorują jacyś Chińczycy w mieście, którego większość z nas nie umieściłaby prawidłowo na mapie Chin. Na mnie wrażenie zrobiła dopiero informacja z 5 lutego, że na wielkim wycieczkowcu „Diamond Princess” dwutygodniową kwarentanną objęto 2600 turystów i 1000 członków załogi. „Ale to też nie nasz problem – nie nasz sposób na podróżowanie!”. I nie nasz cel. My nasze podróżowanie zaczynamy 9 lutego, a naszym celem są Podlesice na Jurze (właściwie: na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej).



Masyw Góry Zborów od południa

Niedzielny poranek jest zimny, ale pogodny. Z prawie pustego o tej porze parkingu przy hotelu „Ostaniec” ruszamy niebieskim szlakiem na północ. Las wokół nas jeszcze śpi zimowym snem, ale gdzieś wysoko, w koronach drzew, rozlega się bębnienie dzięcioła. Leśna droga łagodnie się wznosi, przecina żółty szlak biegnący z Kroczyca, a potem nieco zwawiej opada do wyraźnie formującej się dolinki. Bezlistne drzewa nie zasłaniają jeszcze wznoszących się po prawej Omszałych Turni, Wysokich Okapów i Jastrzębnika. Rażnym krokiem dochodzimy do lokalnej drogi do Kostkowic i biegnącej wzdłuż niej linii kolejowej. To linia kolejowa nr 4, bardziej znana pod nazwą Centralnej Magistrali Kolejowej. Słyszymy charakterystyczny, narastający szum i po chwili przemyka obok nas szaro-niebieski skład gnający z Katowic do Warszawy. To właśnie na tym odcinku po raz pierwszy w Polsce pociągi mogły rozwijać prędkość 250 km na godzinę!

Po krótkim spacerze wzdłuż kolei zwracamy za znakami czerwonymi na południowy zachód. Mijamy po lewej Popielową Skałę i Zamkową Basztę. Pod skałami Kołoczka zaczynamy się wspinać. Uwaga! Wapienne stopnie są śliskie z natury, a dziś grunt pomiędzy nimi, tu w lesie, jest dodatkowo skuty płatkami lodowej skorupki. Wkrótce osiągamy Górę Zborów z obeliskiem na szczycie. Dopiero tu pierwsi spacerowicze i to od razu całkiem sporo. Tak jak i my zachwycają się dalekimi widokami, chociaż z minuty na minutę powietrze staje się coraz mniej przezroczyste. Więc najpierw zdjęcia, potem panoramy. Kiedy schodzimy w kierunku południowym, widzimy pierwszych wspinaczy pod ścianami białych, wapiennych turni, oświetlanymi promieniami coraz wyżej wznoszącego się słońca.

Przekraczamy drogę do Kroczyca, pokonujemy wzgórze z grupą skał zwanych Apteką, po czym przekraczamy lokalną drogę z Podlesic do Morska i nieco mozolnie podchodzimy pod zamek w Morsku. Właściwie to zamek nosi nazwę Bąkowiec, a usytuowany jest w szczytowych partiach wzgórza Łęczec. Po drodze znów trochę spacerowiczów, ale ośrodek wypoczynkowy w Morsku zamknięty na głucho. Nie ma śniegu, nie

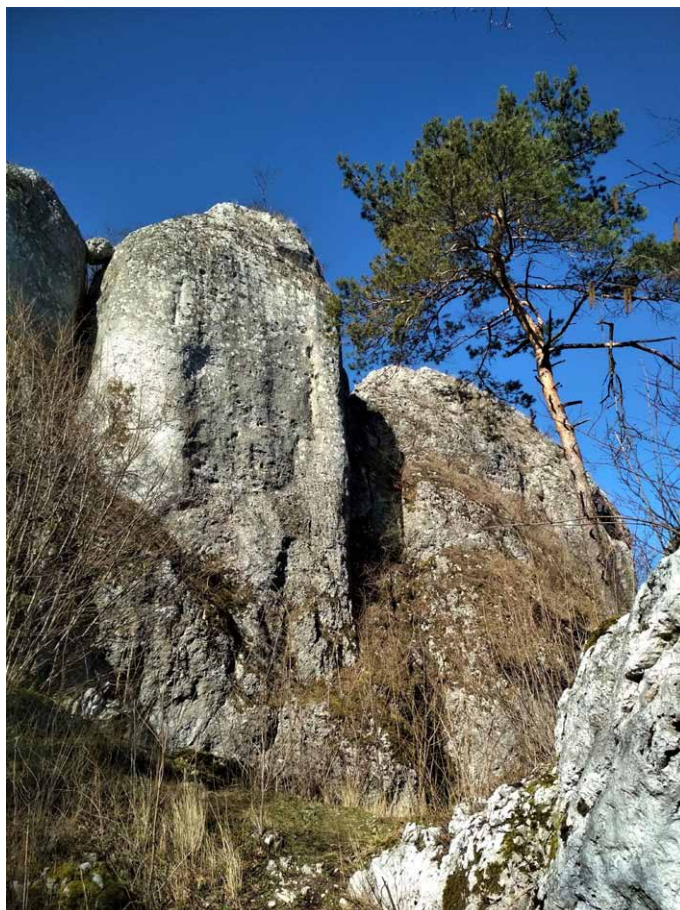
działa tutejszy wyciąg narciarski, nie ma klientów – to i nie ma interesu. Myszkuje trochę wśród skałek Łęczca, trafiamy w końcu na niebieski (dość rzadko zresztą znakowany!) szlak, którym wracamy do Podlesic. Na parkingu pod hotelem dwa pełne rzędy aut. To pora obiadowa, więc w środku też gwarno. Wszyscy beztroscy, zadowoleni z udanego niedzielnego wyjazdu za miasto. Jeszcze nie wiedzą, że w piątek zmarł Li Wenliang, lekarz z Wuhan, który pierwszy podniósł alarm o możliwej epidemii wywołanej przez koronawirusa. Dopiero dwa dni później WHO nazwie chorobę wywoływaną przez tę paskudną odmianę wirusa mianem COVID-19.



Ruiny zamku Bąkowiec w Morsku

W drugiej połowie lutego w EMPiK-u kupiłem najnowszy plan Pragi. To na wyjazd planowany na długi majowy weekend: Praga, Karlsztejn, Muzeum Škody w Mlada Boleslav. Trzeba się rozejrzeć, ustalić co i w jakiej kolejności będziemy zwiedzać. Wtedy jeszcze zazdrościliśmy naszym znajomym, którzy właśnie szusowali na nartach w Austrii czy we Włoszech... Już jednak na początku następnego miesiąca zastanawialiśmy się, czy powinniśmy umówić się z nimi na pourlopową pogawędkę – bo właśnie 4 marca został w Polsce zdiagnozowany pierwszy pacjent z koronawirusem. No, ale to co najmniej 300 km od nas!.. W tym czasie, wyłączając telekomunikatory zasypujące nas coraz okropniejszymi wiadomościami z Włoch, korzystaliśmy z ładnej pogody i gnaliśmy w plener w poszukiwaniu wierzbowych bazi i pierwszych wiosennych kwiatów. Ale już o północy 14-tego miesiąca zostaliśmy postawieni w stan zagrożenia epidemicznego.

15 marca, kiedy rozpoczyna się akcja #LOTdoDomu mająca za zadanie ściągnąć do kraju naszych rodaków rozsianych po odległych zakątkach świata, korzystając z pięknej pogody wraz ze znajomymi ponownie jedziemy na Jurę. Tym razem do Ryczowa. Wieś robi wrażenie opustoszałej. Zastanawiamy się, czy to symptom wiejskiego, niedzielnego poranka, czy może już... Idziemy za czarnymi znakami na wschód. Popod skałą zwaną Strażnica ze śladami XIV-wiecznego grodziska, skrajem Ruskiej Góry docieramy do skraju osady Pustkowie, za którą „przesiadamy się” na znaki czerwone. W miejscu, gdzie stała kiedyś gajówka Psiarskie, w obszernej wiacie, jemy śniadanie. Wysoko w koronie bezlistnego jeszcze buka pracowicie kuje dzięcioł. Gdzieś niżej w podroście schował się jakiś znacznie mniejszy skrzydlaty obywatel lasu. Po rozbudowanym, melodyjnym trylu sądzimy, że to już pan zięba zaczyna poszukiwać partnerki. Mimo iż zarówno buki jak i dęby jeszcze zupełnie nie myślą o liściach, nie potrafimy wypatrzeć ukrytego wśród gałęzi śpiewaka!



W Zegarowych Skałach

Ruszając dalej, uprzytomniamy sobie, że właśnie tu czujemy się bezpieczni! Nie w mieście, na chodniku, nie w kolejce do sklepu lub na pocztę, ale tu

w lesie! Pierwszego wędrowca spotykamy dopiero pod Biśnikiem, gdzie dołączają do nas znaki niebieskie z Wolbromia. Zaglądamy do słynnych jaskiń. Są zamknięte kratami z uwagi na ich znaczenie dla archeologii. Niestety, jedna z krat jest wyrwana. W środku butelki i inne śmieci. Smutny obraz naszej głupoty... Za to znajdujemy kwitnące przylaszczki i krzew wawrzynka wilczylika obsypany różowymi kwiatami. Dalsza droga wiedzie piękną Doliną Wodającą. Zbaczamy jeszcze na kilkanaście minut w głąb labiryntu Zegarowych Skał i wkrótce stajemy w Smoleniu. Tu widać kilkoro kolejnych przyjezdnych. O dziwo – zamek jest otwarty! Kupujemy bilety i ruszamy ku ruinom. Niebo jest błękitne aż do przesady, wiatr chłodny. Ruiny dobrze zakonserwowane, z ich górnych partii rozciągają się interesujące widoki. Zwiedzających niewiele – ale już widoczna jest chęć utrzymania dystansu. Ktoś czeka, aż my wejdziemy przez bramę na dziedziniec. My czekamy, aż inni zejść z murów, by nie wymijać się na wąskich schodach... Fotografujemy. Przysiadamy na murku, ustawiając twarze do słońca. Przez dłuższą chwilę jesteśmy na zamku zupełnie sami...

Zejsście spod zamku za znakami niebieskimi nie jest zupełnie oczywiste. Dopiero kiedy widzimy drogowy znak do Ośrodka Zespołu Parków Krajobrazowych Woj. Śląskiego wiemy, że poszliśmy w dobrym kierunku. Przez Wiesławów (północno-wschodnia część Złóżenca) wchodzimy w obszar łąk i nieużytków złojących się jeszcze kolorami zeszłorocznych, zeschłych traw. Szlak, rzadko znakowany, prowadzi tu systemem polnych dróg i miedz. Wkrótce docieramy pod Brzuchacką Skałę, skąd już wygodną drogą leśną wracamy do Ryczo-wa. Jest wczesne popołudnie, a wieś dalej wygląda jak wymarła...

Mirosław J. Barański

Opodal Gołdapi i Węgorzewa

Dzika mazurska Republika Ściborska

Granice jej obszaru przekroczyłem w maju 2014 r. przy okazji obchodów 50-lecia Uniwersyteckiego Klubu Turystycznego «Unikat». Powitał przybyszy **Dariusz Morsztyn**, prezydent **Republiki Ściborskiej**, czyli **Biegnący Wilk**. To polski skaut-harcerz, który żyje z żoną Justyną i gromadką dzieci, czerpiąc z dawnych wzorów życia w naturze i z poszanowaniem jej praw. Dzieje się to w Ściborkach – osadzie-gospodarstwie opodal Lasów Skaliskich i Gór Klewińskich, czyli na Mazurach Garbatych. To ciągle najdziksza, jakimś cudem zachowana niewielka kraina blisko **Bań Mazurskich**, stolicy gminy o tej samej nazwie z rodowodem z XVII stulecia.

Republika wywodzi się z zasad powstałego w 1986 r. Harcerskiego Ruchu Ochrony Środowiska im. św. Franciszka z Asyżu. Dariusz jest z zawodu nauczycielem wychowania fizycznego. Przejął te unikatowe zasady z życiorysu **Andrzeja Małkowskiego** – założyciela polskiego skautingu znanego jako harcerstwo. Jest Założycielem i Wodzem Naczelnym Stowarzyszenia HROŚ Działając w harcerstwie, zapoznał się z biografią Andrzeja Małkowskiego, który w 1914 r. chciał stworzyć w Tatrach niewielkie osobliwe państwo.

Republika Ściborska jest prywatnym obszarem jej twórcy, harcerza, ekologa, popularyzatora higienicznego stylu życia „w pięknych okolicznościach przyrody». Znajdziemy ją w najbardziej dzikim rejonie **Mazur Garbatych** na terenie gminy Banie Mazurskie. To autentyczne odludzie, kilometr od malutkiej wioski Ściborki zamieszkałej głównie przez ludność pochodzenia ukraińskiego, wysiedloną z Bieszczad i Beskidu Niskiego podczas zbrodniczej akcji „Wisła” w latach 1946–1950.



Mała, bo to tylko około 12 hektarów, Republika Morsztyna to zarazem ostoja naszej indianistyki, długodystansowych biegów z psimi zaprzęgami, baza dla wysublimowanej turystyki przyrodniczej. Druh Darek tak spełnia swoje marzenia. Poświęca w sezonie letnim swój i rodziny czas na prowadzenie obozów dla rodziców z dziećmi, które sprzyjają odnowie fizycznej i psychicznej typowych zabieganych mieszczuchów. Podczas pobytu w Republice muszą wyrzec się palenia papierosów, używania alkoholu, przesuwania w nieskończoność i wgapienia się w ekrany telefonów komórkowych, smartfonów i ipadów. Odżywiają się potrawami wegetariańskimi. Pobyt na 12 hektarach i zajęcia w Republice Biegnącego Wilka jest odpłatny, a chętnych jest tak wielu, że muszą czekać w kolejne do następnego sezonu...

Latem atrakcją dla gości odwiedzających Republikę jest ciągle bujna mazurska przyroda. W gospodarstwie Morsztynów zachowały się typowe elementy zagrody mazurskiej: drewniany dom mieszkalny, stodoła, studnia z kołowrotem, bania-łaźnia, kilkanaście uli w pasiece, 200-letni dom gospodarzy, schronisko dla psich emerytów, zagroda dla 40 psów używanych do zaprzęgów – latem do wózków, a zimą do sań biegowych. W dawnej stodole jest unikatowa kolekcja wózków treningowych i do zawodów, do sań z 12 psami w zaprzęgu, uprząż, smycze, szelki, ubiory dla maszera – prowadzącego zaprzęg. Swoistą atrakcją jest Muzeum Kultury Indiańskiej.

Część muzealna siedliska Republiki gromadzi kolekcję pamiątek związanych z Marią Rodziewiczówną (1864–1944) autorką opowieści „Lato leśnych ludzi” z 1920 r. Idea Republiki czerpie z treści tej książki. To **opowieść o przyjaźni** – Rosomaka, Pantery i Żurawia. I ich prostym życiu w Czystej Przyrodzie. Pomagają zwierzętom, pracują na roli, w leśnej głuszy poznają przyrodę. Towarzyszy im chłopak z miasta, który zdobywa zaszczytne miano Orlika. Bohaterowie w naturze doskonalą swoje charaktery w pracy zgodnie z ideologią skautingu. Z inicjatywy Republiki ma powstać Muzeum Ruchu Puszczańskiego i Chata Leśnych Ludzi. W miejscach urodzin autorki książki i wiecznego spoczynku są dwa pomniki jej poświęcone.

Republika Ściborska to w istocie rodzinne siedlisko Morsztynów – Justyny, Dariusza (przydomek Biegnący Wilk, tradycyjne leśne imię) i ich synów: Jana, Aleksandra i Franciszka Już ponad 25 lat trwa z powodzeniem hodowla i użytkowanie w dużych zaprzęgach po 14 psów. Dariusz startuje w wyścigach psich zaprzęgów w Norwegii. Uznajemy i stosujemy – opowiada Dariusz – zasady życia wegetariańskiego. Razem z nami mieszkają zwierzęta: konie, kilkadziesiąt psów i koty. Chętnie gościmy rodziców z dziećmi od 6. roku życia, oczywiście także z psami.

Rozwijany jest ruch ekologiczny w harcerstwie, własne gospodarstwo rolne. Wszystkie starania Dariusza Morsztyna zmierzają do odtworzenia szkół instruktorów harcerskich z lat 1920–1939. Rozwinięciem tych założeń jest Akcja Dzikie Mazury

Prywatna Harcerska Republika na Mazurach to muzeum kultury indiańskiej i eskimoskiej, galeria „U Oleśia” z pamiątkami z pobytu dla wzmocnienia wspomnień z tego miejsca, skansen chat traperskich. Gościnność „w pakiecie”. Wędrowanie po okolicy to klasyczna turystyka przyrodnicza w ostępach Puszczy Rominckiej i Puszczy Boreckiej, żywy skansen starej architektury, czyli wieś Zabrost Wielki, arkadowy most w Stańczykach, Muzeum i Skansen Kultury Ludowej w Węgorzewie, liczne budowle militarne z okresu II wojny światowej. W Gołdapi – miasto powiatowe i uzdrowisko – warto odwiedzić starą wieżę ciśnień z kawiarnią na szczycie i rozległymi widokami na okolicę. Od wsi Ściborki do Republiki to tylko 700 m w bok od głównej drogi.

Pobyt u Morsztynów wymaga samoobsługi jak na obozie harcerskim czy porządnym biwaku turystycznym. Akcja Dzikie Mazury to forma harcerskiej służby i edukacja ekologiczna w przyrodzie. Republika wytrzymuje porównanie tylko z podobnymi warunkami, jakie panują w ciągle jeszcze licznych zakątkach w Bieszczadach i Beskidzie Niskim.



Tomasz Kowalik

Szlak nie dla wszystkich

Akademicka Perć prowadząca na szczyt Babiej Góry to najtrudniejszy szlak w Beskidach. Nie każdy jest sobie w stanie z nim poradzić. Ratownicy musieli pomóc turystom, którzy utknęli tam na klamrach. Szlak prowadzi na szczyt Babiej Góry od najbardziej stromej, północnej strony. Na odcinkach o największej trudności zamontowano sztuczne ułatwienia, takie jak łańcuchy i klamry. Najtrudniejszym miejscem na trasie jest ośmiometrowa pionowa ściana o nazwie „Czarny Dziób”. Trzeba się na nią wspiąć, pomaga w tym łańcuch oraz sześć klamer. (...) Akademicka Perć nie jest szlakiem dla wszystkich. Jak informują ratownicy Grupy Beskidzkiej GOPR, wśród kilkunastu interwencji, które mieli w ciągu ostatniego tygodnia, było także wezwanie do turystów, którzy **utknęli na klamrach Akademickiej Perci**. Babia Góra to wyzwanie nie tylko ze względu na trudności techniczne. Można stracić orientację (...). Turystka straciła na Babiej Górze orientację w terenie. Dzięki aplikacji Ratunek udało się ją szybko odnaleźć i sprowadzić do miejsca pozostawienia samochodu. red. Ewa Furtak 20.07.2020 Wyborcza.pl

Teraz osobisty wątek. Redaktor Ewę Furtak miałem okazję spotkać w schronisku Dworzec Beskidzki w Zwardoniu jakieś 20 lat temu przy okazji startu rajdu „Jak Za Dawnych Lat”. Umówiliśmy się na rozmowę o rajdzie i o turystyce górskiej. Z tej rozmowy była w GW ilustrowana notatka. Widzę, że Pani redaktor wierna jest tematyce turystyki górskiej i reprezentuje „opcję zdroworozsądkową”. To nieczęsta postawa w dzisiejszych czasach. Jak wynika z przytoczonego wyżej materiału z GW autorka ujawnia niepopularną prawdę, że są takie szlaki turystyczne, na których nie wszyscy sobie radzą. Jest to wbrew wyznawanemu przez bardzo wielu pogładowi, że właściwie nie ma takiej góry, na którą każdy Polak i Polka nie wejdą z przysłowiowym palcem w nosie. To jedna z ilustracji postawy „ja niczego się nie boję, choćby tygrys (tu: Diablak), to dostoję”. Taka postawa dominuje w różnych środowiskach i okolicznościach i przejawia się adekwatnie do tychże. Widać to na drogach, na jeziorach, nad morzem, no i w górach. Powszechny jest pogląd, że prawdziwe góry w Polsce to tylko Tatry, a cała reszta to góry „kapuściane”. Jak wynika z różnych relacji ukazujących się w prasie czy w mediach elektronicznych dziś także Tatry zostały zdegradowane do stopnia gór „kapuścianych”. Świadczą o tym choćby zdjęcia i filmiki ukazujące ludzki wąż na szlaku na Rysy. Niczym nie różni się od podobnego „węża” pod Giewontem czy – tu przenosimy się w Karkonosze – „węża” do kolejki linowej w Pecu pod Śnieżką lub do kolejki do jakiejś popularnej lodziarni na Krupówkach. O drodze do Morskiego Oka nie wspominam, tam dawno przekroczone już wszelkie normy rozsądku. Z tego wszystkiego wynika, że „nowemu turyście” jest wszystko jedno, gdzie jest. Wszyscy idą, idę i ja. Nie ma znaczenia czy to płaska niemal droga, czy eksponowany szlak na Rysy. Mam niejasne przypuszczenia, że ogromna większość tych „nowych turystów” ma mgliste pojęcie o górach, o szlakach, o turystyce górskiej w ogóle. Stąd duża ilość interwencji ratowników górskich (*) i konieczność organizowania dodatkowych sezonowych stacji ratunkowych.

Minąwszy widokowy punkt bardzo stromo wspinamy się do miejsca, gdzie ścieżka poziomo podprowadza do niewielkiego skalnego urwiska (przystanek nr 11 — Żleb Piarzysty — ścieżki przyrodniczej BgPN).

Urwisko zwane Czarnym Dziobem przegradza częściowo Piarzysty Żleb, który przecina Perć Akademików. Ten krótki żleb jest dzisiaj pozbawiony piargu. Dokonały tego deszcze, śnieżne lawiny (Uwaga zimą!) i erozja turystyczna. Czarny Dziób stanowi najbardziej stromą część Wielkiej Zerwy Skalnej Babiej Góry. Całe otoczenie przypomina tu nieco fragmenty Tatr Zachodnich. Obserwujemy stromiznę północnych stoków Babiej Góry przeciętej przez liczne głębokie 300–400-metrowe żleby. Blisko za Piarzystym Żlebem, na zboczu, jaśniej świeża długa rana po niedawnym osuwisku.

Miejsce, w którym stoimy jest kolejnym punktem widokowym. Wcześniej oglądana panorama rozszerza się tutaj na wschód o Pasma Policy (Polic) z wysoką **Polica*** (1369 m) i bliżej **Kiczorka*** (Cyl Hali Śmietanowej, 1298 m).

Idziemy w kierunku Czarnego Dzioba. Jego niemal pionową ścianę pokonujemy przechodząc przez kilkunastometrową efektywną skalną półkę. Zaraz za nią przy ścieżce bije spod glazów silne źródło. Teraz stromo podchodzimy do następnych skał, które pokonujemy przy pomocy kilku klamer i łańcuchów. Dalsza trasa nie nastęrcza już żadnych trudności, choć nadal wiedzie bardzo stromo. Z każdym metrem widoki stają się coraz rozleglejsze, między innymi po prawej stronie ukazują się Przeł. **Brona*** (1408 m) i **Mała Babia Góra*** (Cyl, 1517 m). Wkrótce za nami zostają

Fragment opisu Perci Akademików z przewodnika GRUPA BABIEJ GÓRY Piotra Krzywdy

Wracając do *turystów, którzy utknęli na klamrach Akademickiej Perci*. Możliwe, że ktoś się zaśmieje, no jak to możliwe, przecież tam nie ma żadnych trudności, itd., itp. To do końca tak nie jest. Dla jednego nie ma tam żadnych trudności, dla innego są. Sam byłem świadkiem, jak turystka „zawiesiła się” na Czarnym Dziobie i wpadła w taką panikę, że nie mogła się ruszyć ani w górę, ani w dół. Weszła z rozpędu na pierwszą klamrę, spojrzała w dół i...zaczęło się. Nie w takich miejscach ludzie tracą rezon. Wystarczy kawałek węższego grzbietu czy grani, trochę ekspozycji i odkrytej przestrzeni i już się w głowie kręci. Widziałem taką sytuację na grani Sokolie w Małej Fatrze.

Przewrotnie napisałbym, że Perć Akademików jest dla wszystkich, ale **dla wszystkich przygotowanych** do przejścia takiego szlaku. Co to znaczy? Ano to, że turysta powinien mieć już jakieś doświadczenie w chodzeniu po niższych i łatwiejszych górach w różnych warunkach, nie tylko przy grzejącym słońku i lekko powiewającym zefirku. Powinien przeczytać opis szlaku, powinien zapoznać się z jego przebiegiem na mapie, obejrzeć kilka filmików na „yt”, wreszcie pomyśleć, czy jest gotowy na jego przejście. Kiedyś przejście Perci było ukoronowaniem beskidzkiej turystyki, tak jak wejście na Rysy i przejście Orlej Perci ukoronowaniem tatrzańskiej. Z obrazów widzianych w mediach wyraźnie widać, że na Akademicką, Orlą, czy Rysy idą wszyscy, „i żuk i żaba”. Idą bez jakiegokolwiek wiedzy, przygotowania i właściwego wyposażenia. Oczywiście, nie wszyscy. Nie podejrzewam Czytelników NS, że należą do tej górskiej „masy krytycznej”, wierzę, że nie. Mimo to zachęcam, by przed wyjazdem w góry poczytać, obejrzeć, zapoznać się „na sucho” z terenem, na który się wybieramy. Przytoczony jako ilustracja opis fragmentu Perci Akademików powinien uruchomić wyobraźnię i skłonić do zastanowienia się, czy mam już odpowiednie kwalifikacje turystyczne czy nie. Tu warto przypomnieć, że do lat 90-tych XX w. nie było na Perci żadnych łańcuchów, a klamry na Czarnym Dziobie były tylko trzy. Nie było, jak teraz, że wchodzi się niczym po drabinie. Kiedyś, przed epoką elektronizacji życia, do dyspozycji były tylko mapy, przewodniki i albumy fotograficzne bądź krajoznawcze. Teraz zasoby informacji są praktycznie nieograniczone. Niektóre szlaki można prześledzić na „yt” wręcz krok po kroku, tak jest z Percią Akademików, a także z Orlą Percią, szlakiem na Rysy, na Przełęcz pod Chłopkiem, na Wrota Chałubińskiego i wiele innych. Korzystajmy z tych możliwości i nie dajmy się zaskoczyć. Na koniec pointa, czyli wypowiedź naczelnika GOPR z 31 lipca (*).

Naczelnik GOPR Jerzy Siodłak: *Dokonaliśmy wstępnej analizy lipca, czyli okresu pierwszego miesiąca wakacji. Dane pokazują, że mieliśmy o jedną trzecią więcej zdarzeń, w których interweniowaliśmy, niż w analogicznym okresie w roku ubiegłym.*

Z czego to wynika? (red. Ewa Raczyńska - Onet)

J.S. *Z pewnością z pewnego rodzaju nonszalancji w górach, naszego zachowania, braku wiedzy na temat zagrożeń i niebezpieczeństw, jakie możemy napotkać podczas wędrowki. Te zachowania w górach często odbiegają nawet od zdroworozsądkowych zasad bezpieczeństwa, znajomości tego tematu. Dotyczy to sposobu ubierania się, planowania wycieczek, a właściwie braku ich planowania, takiej zupełnej ignorancji w różnych formach uprawiania tej rekreacji, form turystyki i różnych sposobów, które człowiek sobie w ostatnich latach w górach wymyślił. Bez komentarza.*



Na Perci Akademików



Na Czarnym Dziobie

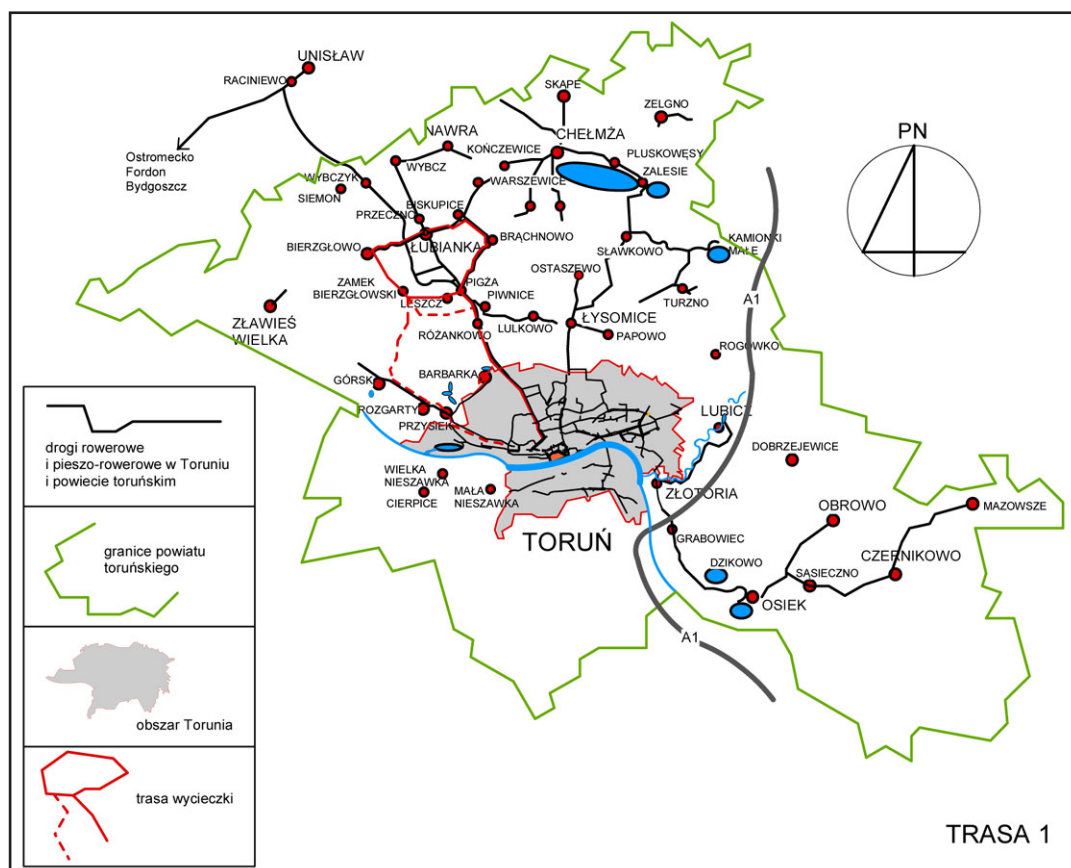
Juliusz Wystouch

Na rowerze po Ziemi Chełmińskiej (1)

Ziemia Chełmińska to kraina obejmująca obszar leżący w łuku Wisły pomiędzy jej prawym brzegiem a Drwęcą na południu i Osą do jej ujścia do Wisły na północy. Na wschodzie granicą Ziemi Chełmińskiej była rzeka Lutryna. Ziemia Chełmińska stanowi część Pomorza Nadwiślańskiego. Główne miasta to: Chełmno, Toruń i Grudziądz. Inne znane miasta to: Brodnica, Radzyń Chełmiński, Chełmża, Lubawa, Kowalewo Pomorskie, Wąbrzeźno i Jabłonowo Pomorskie. W obszarze Ziemi Chełmińskiej jest także Golub-Dobrzyń (*) będący faktycznie miastem granicznym z Ziemią Dobrzyńską, Lubawa zaś leży na pograniczu z Mazurami i Prusami Górnymi, będąc stolicą dawnej Ziemi Lubawskiej „przyłączonej” niejako do Ziemi Chełmińskiej. Można powiedzieć, że wszystko co na północ od Torunia w zasięgu jednodniowego wypadu sprawnego rowerzysty to Ziemia Chełmińska. No tak, tylko jaki sens miałoby objechanie tego terenu w ciągu jednej wycieczki? Miejsc, tras i krajobrazów wystarczy nie na dwa, nie na trzy, ale i na więcej wypadów.

Budowane od kilku lat drogi rowerowe i pieszo-rowerowe pozwalają na bezpieczną jazdę każdemu rowerzyście, zresztą z taką myślą są budowane. Przed rokiem 2013 powstało już kilka odcinków takich dróg, jednak jedyną ich zaletą jest tylko to, że są, że rowerzysta nie musi dzielić miejsca z samochodami i motocyklami na niezbyt szerokich lokalnych drogach, zwłaszcza, że ruch na nich bardzo się „zagęścił”, zaś wielu kierowców myli je z autostradami. Drogi te, zwane powszechnie „ścieżkami rowerowymi” (**) zbudowano z kostki betonowej podatnej na przerastanie trawą i chwastami, stąd po kilku latach ich jakość i komfort jazdy nimi są nader wątpliwe. Od roku 2013/2014 wdrażany jest w regionie program poprawy bezpieczeństwa na drogach lokalnych, w ramach którego buduje się kolejne odcinki asfaltowych dróg rowerowych i pieszo-rowerowych. Na co dzień służą dobrze mieszkańcom wielu wsi i miast, głównie dzieciom i młodzieży dojeżdżającym do szkół, w weekendy zapełniają się amatorami dłuższych wycieczek rowerowych i kolarskich treningów.

Pierwszą „nowożytną” drogą rowerową była „ddr” z Torunia do Raciniewa k. Unisławia licząca od centrum miasta ponad 20 km, oddana do użytku we wrześniu 2013. Szybko zdobyła popularność, jej przebieg i walory prezentowałem jakiś czas temu na łamach NS. Właśnie tą drogą dojedziemy z Torunia do miejsca, w którym rozpoczynamy proponowaną trasę. Jest to miejscowość Pigza, a konkretniej



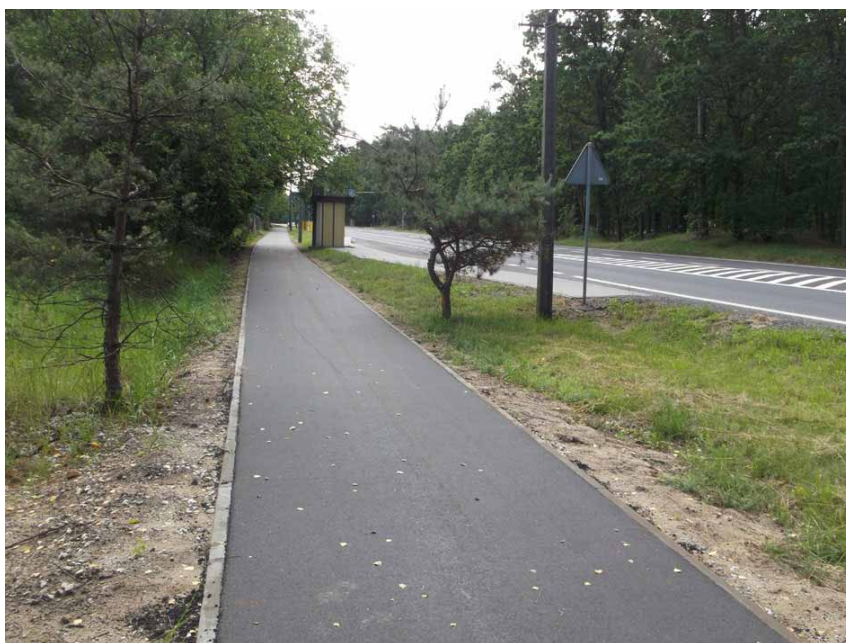
skrzyżowanie DW 553 z drogą gminną do Leszcza, 100 m za budynkiem dawnej stacji kolejowej. Z centrum miasta to około 10 km. W lewo gminna droga prowadzi przez Leszcz do wąwozu leszczyńskiego, w prawo do wsi Pigża. Skracamy właśnie w prawo na kilometrowy odcinek starej drogi rowerowej pamiętającej ekspansję kostki brukowej. Doprowadza do wsi, gdzie mijamy DPS, sklep, szkołę, kompleks obiektów sportowych i zabudane osiedle mieszkaniowe – pozostałość dawnego PGR-u. Cała miejscowość robi całkiem dobre wrażenie. Choć niczym szczególnym się nie wyróżnia, to trzeba wiedzieć, że jest rówieśnikiem Torunia, a kto wie, czy nie jest starsza skoro istniejący już w roku 1231 gród zdobyli Krzyżacy. Czyżby „po drodze” do miejsca, w którym założyli nad Wisłą Toruń? We wsi zachowały się zabudowania dawnego folwarku z bezstylowym dworem z przełomu XIX / XX wieku i parkiem przydworskim, dziś już zaniedbanym. W pobliżu dawnego zespołu dworskiego wjeżdżamy na nową, asfaltową drogę pieszo-rowerową. Szosa, a wraz z nią dp-r (***) skręca wpierw w prawo, a za chwilę w lewo i lekkim podjazdem pokonuje wzniesienie terenu. Następuje ładny (2 km) odcinek do Brąchnowa. Dojeżdżamy do skrzyżowania, w którym promieniście schodzą się cztery drogi i kierujemy się w lewo. We wsi dwa sklepy, gdzie możemy uzupełnić napoje i kupić „coś na ząb”. Dalej trasa prowadzi do wsi Biskupice, Na kolejnym skrzyżowaniu w Brąchnowie jedziemy w lewo, wjeżdżając na nową asfaltową dp-r. Dwukilometrowy, prosty jak strzała odcinek doprowadza do Biskupic. Skracamy w lewo i zatrzymujemy się, by obejrzeć kamienny kościół z XVIII w. Na skraju wsi zachował się też częściowo dworek z XIX w. stojący pośrodku niewielkiego parku. Oba, niestety, dziś zaniedbane, a właściwie w stanie postępującej ruiny (posesja prywatna, pokrzywy „na chłopca”, dwór się wali). Wcześniej, jeszcze przed kościołem mijamy budynek szkoły z końca wieku XIX (dziś przedszkole). Jedziemy na zachód w kierunku Łubianki, dużej wsi gminnej, po prawej



Droga z Pigży do Brąchnowa



Przez Biskupice w kierunku Łubianki



Droga rowerowa z Górską do Torunia

stronie w głębi, już za tablicą oznajmującą koniec wsi Biskupice znajduje się wspomniany zespół podworski. Jedziemy do Łubianki, cały czas korzystając z drogi pieszo-rowerowej, z wyjątkiem krótkiego odcinka przy kościele. Dalej przez wieś prowadzi niedługi odcinek „dp-r” z kostki. Od kolejnego skrzyżowania (z drogą na Kozielec) przy kapliczce wjeżdżamy na nową asfaltówkę. Do centrum Łubianki mamy niecałe 2 kilometry, licząc od kościoła. Niestety, ostatnie 300 m już w Łubiance to znowu kostka betonowa, ale tak budowano drogi pieszo-rowerowe jeszcze kilka lat temu. Wjeżdżamy na rondo w centrum wsi. Znowu okazja do uzupełnienia napojów w pobliskim sklepie. Łubianka wzmiankowana była w dokumentach już na początku XV w. Sama wieś nie jest szczególnie atrakcyjna, za to w okolicznych wsiach uchowało się sporo ciekawych obiektów. W promieniu kilku kilometrów mamy krzyżacki zamek w Zamku Bierzgłowskim, gotycki kościół z przełomu XIII i XIV wieku w Bierzgłowie, tamże wiatrak koźlak z lat 80. XIX wieku. Jedziemy zatem dalej w tym samym kierunku „dp-r” wzdłuż wsi w kierunku Bierzgłowa. To kolejny dwukilometrowy odcinek, tym razem w dość urozmaiconym krajobrazie, gdyż przecinamy głęboką dolinę strumienia. W Bierzgłowie warto zajrzeć do wspomnianego kościoła i obejrzeć wiatrak. Zmieniamy kierunek wycieczki na południowy i jedziemy obejrzeć Zamek Bierzgłowski – to nazwa wsi i zamku, jednego z najstarszych na Ziemi Chełmińskiej (początek budowy r.1270). Niegdyś siedziba komtura, kilkakrotnie zdobywany i odbudowywany, obecnie mieści się w nim Diecezjalne Centrum Kultury. Mają tu miejsce różne wydarzenia kulturalne – koncerty, uroczystości, międzyszkolne konkursy, warsztaty, dni integracyjne dla młodzieży, itp. Warto nawet być tu w niedzielę i uczestniczyć w mszy św. w zamkowej kaplicy. Ma się wrażenie, że za chwilę wejdą braciszczowie zakonni w płaszczach z czarnymi krzyżami.

Z Zamku Bierzgłowskiego można wracać do Torunia dwojako, a nawet „trojako”. W pierwszym wariantcie kierujemy się na pd-wschód ul. Jagiellońską (szybki



Dwór i park w Biskupicach – smutny los wielu zabytków



Droga z Łubianki do Bierzgłowa (Łubianka - Bierzgłowo)



Zamek Bierzgłowski

zjazd), korzystając z asfaltowej szosy do jej skrętu w prawo, gdzie kieruje się na pd-zachód do Górską. Mijamy ten zakręt, jadąc dalej prosto już drogą szutrową przez las. Ten fragment trasy liczy 3 km do spotkania drogi rowerowej, tej samej, z której korzystaliśmy na początku wycieczki, biegnącej wzdłuż DW 553. W końcu odcinka przejeżdżamy pod wiaduktem kolejowym i skręcamy w prawo na ddr w kierunku Torunia.

Drugi wariant zaczyna się podobnie na ul. Jagiellońskiej, z tym że po 100 od zamku skręcamy w lewo w ul. Piastowską. Po asfalcie jedziemy ok. 1 km przez nowe osiedle domków jednorodzinnych, do końca ulicy, która zamienia się w ścieżkę (zakaz wjazdu – nie dotyczy rowerów)

zbiegającą wąskim mrocznym wąwozem. Jest to ulubione miejsce toruńskich rowerzystów górskich. Zjeżdżamy ostrożnie na dno wąwozu do miejsca odpoczynku (kamienny mostek, ławy, stoły, strumień). Dalej ścieżka wznosi się odnogą wąwozu wzdłuż strumienia, by po 300 m osiągnąć placik we wsi Leszcz (wiata, przystanek autobusu szkolnego). Dalsza trasa prowadzi wąską asfaltową drogą i doprowadza do znanej nam już drogi rowerowej w pobliżu dawnej stacji kolejowej w Pigży. W tym miejscu zamykamy pętlę trasy, a skręciwszy w prawo jedziemy do Torunia. Od wjazdu na ddr do centrum miasta zostało ok. 8 km. Cała trasa liczy około 35 – 40 km jednym lub drugim wariantem. Wariant trzeci jest najdłuższy (+10 km), ale zważywszy na przejechane już kilometry najwygodniejszy, wiedzie bowiem cały czas po asfalcie i, choć może niezauważalnie, to „lekutko” w dół, jak mówią w Toruniu. Na początku zjazd, jak w wariantcie 1, po czym skręt w prawo w kierunku Górską. Jedziemy, jedziemy, aż dojedziemy do spotkania DK 80 Toruń - Bydgoszcz. Ale spokojnie, jazdy po ruchliwej szosie nie będzie. Po 5 km docieramy do wspomianej szosy w Górsku i wjeżdżamy (w lewo) na nową drogę rowerową, która „dowiezie” nas przez Rozgarty i Przysiek do Torunia, do zachodniej dzielnicy – Bydgoskiego Przedmieścia.

* Golub-Dobrzyń – dawniej dwa miasta: Golub po stronie krzyżackiej, Dobrzyń na Ziemi Dobrzyńskiej, choć nazwa krainy pochodzi od Dobrzynia nad Wisłą.

** ścieżka rowerowa – błędna nazwa drogi dla rowerów lub drogi pieszo-rowerowej, niestety, ugruntowana w powszechnej świadomości, co powoduje często niewłaściwe podejście do tematu drogowców i wielu kierowców.

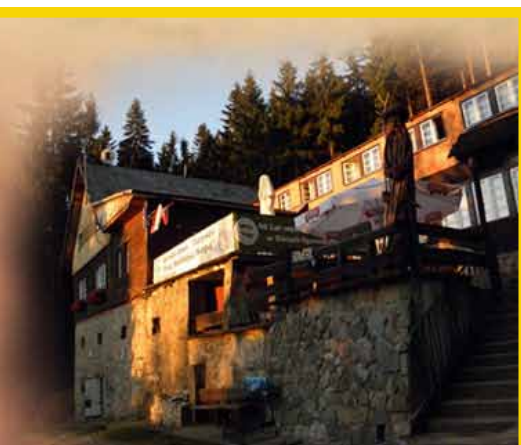
*** dp-r – droga pieszo-rowerowa (wg PORD „droga dla pieszych i rowerzystów”)

Juliusz Wystouch



Zamek Bierzgowski – kaplica

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Zamek w Trenczynie

Wielu Czytelników „NS” miało już zapewne okazję jechać słowacką autostradą D1 na południe, w stronę Bratysławy. Jadąc w dół doliny Wagu, bardziej od rzeki, która w większości nie jest widoczna, podziwiamy ciągnące się po obu stronach doliny pasma górskie. Po prawej są to kolejno Jaworniki, Białe Karpaty i w końcu Małe Karpaty, zaś po lewej – Sulowskie Wierchy, Góry Strażowskie i Powaski Inowiec. Mijając leżący po lewej ręce Trenczyn, dostrzeżemy ponad miastem na wysokiej skale wyraźny zarys zamku celującego w niebo spiczastym dachem potężnej, czworobocznej wieży. Warto przewidzieć trochę czasu, by zjechać te kilka kilometrów do miasta (które samo w sobie warte jest przystanku!) i w 15-20 minut podejść na zamek.

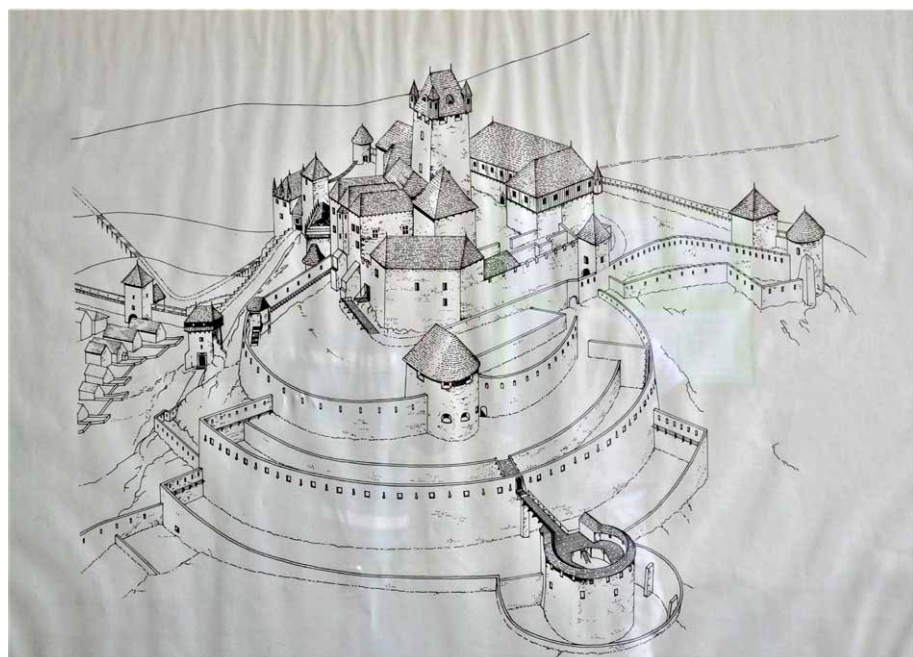
W czasach rzymskich Trenczyn występował pod nazwą *Laugaricio*. Jak już wspominałem w tekście wprowadzającym (*Średniowieczne zamki na Słowacji*, „NS” nr e-164) dotąd dotarli zapewne w 179 r. n.e. w czasie wojen markomańskich żołnierze rzymscy pod dowództwem legata Marcusa Valeriusa Maximiana. Pamiątką po ich pobycie jest napis wykuty na skale (dziś już trudno czytelny), na której posadowiony jest zamek.

Ten powstał zapewne na miejscu jakiegoś wczesnośredniowiecznego założenia obronnego, które wiązać należy z Księstwem Nitrzańskim. Najstarszą budowlą na wzgórzu, której ślady dotychczas odkryto, jest jednak wielkomorawska, czteroapsydowa rotunda z IX w. Warto pamiętać, że do 1018 r. cała ta część Słowacji znajdowała się w granicach Polski Bolesława Chrobrego! Jeszcze przed likwidacją Księstwa Nitrzańskiego w XII w. zaczęto budować wspomnianą wyżej potężną wieżę mieszkalną. Stała się ona centralnym obiektem, wokół którego w następnych wiekach rozbudowywano zamek stojący na straży północno-zachodnich rubieży korony węgierskiej i jednocześnie najważniejszej drogi z Węgier na północ biegnącej doliną Wagu. Nieprzerwanie do 1922 r. był on siedzibą żupy trenczyńskiej i odegrał istotną rolę w dziejach Węgier.

Z końcem wieku XIII właścicielem zamku został bodaj najpotężniejszy w tych czasach możnowładca węgierski Mateusz (Matusz) Czak (węg. *Csák(i) Maté*, słow. *Matúš Čák Trenčiansky*; ok. 1265-1321). Nazywany był *Królem Wagu i Tatr*. Gdy w 1296 r. poróżnił się z panującym królem Andrzejem III, to właśnie



Trenczyński zamek góruje nad dachami miasta



Zamek ok. 1530 r. (rekonstr. A Fiala, z zamkowej ekspozycji)

Trenczyn stał się ośrodkiem jego wielkiego państwa feudalnego. Na początku następnego stulecia pod jego władzą znajdowała się praktycznie cała dzisiejsza zachodnia Słowacja: doliny Wagu, Nitry i Hronu wraz z ich dopływami aż po Liptów i Orawę. Bezpośrednio lub przez swoich sprzymierzeńców kontrolował 14 żup z ok. 50 zamkami i setkami wsi. Dysponował potężną armią (która np. w 1314 r. pobiła pod Holićem wojska króla Czech Jana Luksemburskiego), a na trenczyńskim zamku funkcjonował dwór w niczym nie ustępujący królewskiemu. Palatynem Czaka na trenczyńskim zamku był przez szereg lat Felicjan Zách, który wówczas nie mógł jeszcze przypuszczać, jak tragicznie potoczą się losy jego rodu na skutek młodzieńczego wybuchu pewnego polskiego królewicza, który teraz funkcjonuje w historii z przydomkiem „Wielki”...

To właśnie Czak znacząco powiększył zamek, umacniając wieżę oraz dobudowując górny (tzw. Matuszowy) pałac i solidne umocnienia. Gdy po sławnej bitwie pod Rozgoniem (słow. *bitka pri Rozhanovciach*) w 1312 r. król Karol Robert Andegaweński znacząco złamał potęgę węgierskich magnatów, a biskup Nitry (którą Czak złupił, pałac nitrzański *hrad* wraz z bezcennym archiwum) wyklął niesfornego magnata, ten wycofał się do Trenczyna. Stąd jeszcze przez lata władał uszczuplonym „Matuszowym królestwem”, prowadząc kolejne wojny z Andegawenem i tu zmarł – o dziwo! – z przyczyn naturalnych.

Po jego śmierci zamek przeszedł w ręce królów Węgier, którzy dzierżyli go do końca XV w. W sierpniu 1335 r. rozpoczęły się w nim rokowania między przedstawicielami Kazimierza Wielkiego i króla Czech Jana Luksemburskiego dotyczące zrzeczenia się przez Luksemburczyka roszczeń do korony polskiej w zamian za 20 tysięcy kop groszy praskich i uznanie przez Kazimierza praw do zwierzchnictwa Czech nad większością księstw śląskich. Choć zakończone trzy miesiące później w Ostrzyhomiu, znane są dziś jako „układ trenczyński”. Szczególnie upodobał sobie Trenczyn Ludwik I Wielki – ten sam, który w l. 1370-1382 panował w Polsce jako Ludwik Węgierski. Przebudował on znacząco najstarszą część zamku i powiększył go, budując nowy (tzw. Ludwikowy) pałac. Następny król i cesarz rzymski, Zygmunt Luksemburski, darował zamek swojej żonie

Barbarze Cylejskiej (ur. 1390-95, zm. 1451). To dla niej zaczął wybudować, już w stylu późnogotyckim, nowy zespół pałacowy wraz z kaplicą określaną dziś przez Słowaków jako *Barborin palác*.

Historia życia i panowania Barbary – pochodzącej z hrabiowskiego rodu Celje w Słowenii, królowej czeskiej i węgierskiej, w końcu cesarzowej, kobiety niezależnej i w sensie mentalnym należącej już do idącej z Włoch



Matuszowa wieża i pałac Zapolyi



Fragment południowych umocnień zamku

epoki Renesansu, byłaby tematem na rewelacyjny serial filmowy. Piękna i inteligentna błysnęła u boku męża na soborze w Konstancji. Później, gdy Zygmunt przebywał w Czechach i krajach niemieckich, sprawnie zarządzała z Trenczyna Węgrami, w tym swym prywatnym majątkiem, który na początku lat 30. XV w. obejmował m.in. 30 „państw” feudalnych i bogate miasta górnicze. Jej stosunki z mężem układały się różnie, z zięciem – późniejszym cesarzem Albrechtem II Habsburgiem – fatalnie! Dość powiedzieć, że krótko przed śmiercią Zygmunt (na wieść, że Barbara byłaby gotowa wyjść ponownie za mąż za 12-letniego Władysława, polskiego królewicza znanego później pod przydomkiem „Warneńczyk”) kazał żonę uwięzić, zaś po jego zgonie Albrecht pozbawił teściową wszystkich włości na Węgrzech. Jak notował Długosz, wygnana królowa udała się do Polski, gdzie przyjęto ją łaskawie i oddano *zamek, miasto i ziemię sandomierską, gdzie mieszkała, dopóki jej się podobało, opływając w wszelakie dostatki*. Barbara Cylejska przebywała w Sandomierzu w latach 1438-1441. Tu zresztą, 40 lat później, urodziła się jej prawnuczka Barbara, córka Elżbiety Rakuszanki i polskiego króla Kazimierza Jagiellończyka.



**W zamkowej galerii kolejny polski akcent:
portret Marii Kazimiery Sobieskiej**

W 1475 r. zamek trafił w ręce Stefana Zápolyi (1434-1499), który od roku 1481 był żupanem trenczyńskim, a od 1492 r. palatynem Węgier. Był też zaufanym człowiekiem króla Macieja Korwina i m. in. z jego nadania w latach 1474-1481 starostą generalnym Śląska i Łużyc. Jego bliskie związki ze Śląskiem zaowocowały małżeństwem z Jadwigą, córką księcia cieszyńskiego Przemysława II. Ich syn Jan został w 1526 r. królem Węgier, a córka Barbara - polską królową jako pierwsza żona Zygmunta Starego. Po śmierci męża Jadwiga jeszcze przez wiele lat władała zamkiem trenczyńskim, w którym też zmarła w 1521 r.

Zapolya znacznie rozbudował zamek, co nie uchroniło go w 1527 r. przed zdobyciem (po 14-tygodniowym oblężeniu) przez generała Katzianera pozostającego w służbach króla Ferdynanda I Habsburga. Kolejne przebudowy w połowie XVI w., prowadzone w stylu renesansowym, miały na celu przystosowanie zamku do rozwijającej się szybko broni artyleryjskiej i uczynienie z niego istotnego punktu oporu przed nawałą turecką. Około roku 1560 zamek osiągnął szczyt swojego rozwoju.

W 1594 r. zamek przejęła we władanie rodzina Illesházycy (która formalnie pozostawała jego właścicielem do 1948 r., kiedy przeszedł on na własność państwa). W 1790 r. w mieście wybuchł wielki pożar, który zniszczył również zamek. Od tego czasu obiekt popadał w ruinę. Dopiero ok. połowy XIX w., na fali zainteresowania zabytkami historii, podjęto pierwsze prace zabezpieczające, które kontynuowano w latach 1924-1938 pod auspicjami Klubu Czechosłowackich Turystów i Narciarzy. Zasadnicza odbudowa udostępniająca obiekt zwiedzającym trwała od połowy lat 50. do końca lat 70. ub. wieku. Umieszczone w nim ekspozycje przedstawiają dzieje zamku i jego właścicieli oraz kolejne fazy jego przebudów. Interesująca jest kolekcja dawnej broni. Cennym dziedzictwem po Illesházycy jest eksponowana dziś w zamku kolekcja rodowych portretów oraz malarstwa europejskiego gromadzona od końca XVI w.

Po zwiedzeniu ekspozycji, zanim jeszcze wstąpimy na kawę do zamkowej kawiarenki, warto wdrapać się na „Matuszową” wieżę, z której roztacza się interesująca panorama. U stóp mamy otaczające wieżę zabudowania zamkowe z trzema pałacami, licznymi dziedzińcami, czterema bramami i spajającymi je murami i basztami. Tuż niżej, po stronie zachodniej, widzimy dachy Trenczyna, a dalej rozległą dolinę Wagu. Poza nią wznoszą się Białe Karpaty, w których wyróżniają się wapienne Vršatské bradlá. Na południu horyzont zamykają grzbiety Powaskiego Inowca. U jego podnóża można dostrzec ruiny innej wielkiej twierdzy – zamku Beckov. O nim – w kolejnym odcinku „Średniowiecznych zamków na Słowacji”.

Miroslaw J. Barański

Katedra w Warnie

W samym centrum Warny, otoczona z trzech stron parkiem, a z czwartej strony jedną z głównych i ruchliwych ulic, na placu św. Kiryła i Metodego znajduje się najważniejszy obiekt sakralny Warny – Św. Uszenie Bogorodniczno (Katedra św. Zaśnięcia Matki Bożej). Znana też w polskiej literaturze jako Katedra Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny.

Katedra jest jednocześnie trzecią co do wielkości cerkwią tego typu w Bułgarii, po katedrze św. Aleksandra newskiego w Sofii i katedrze św. Dymitra w Widinie nad Dunajem.

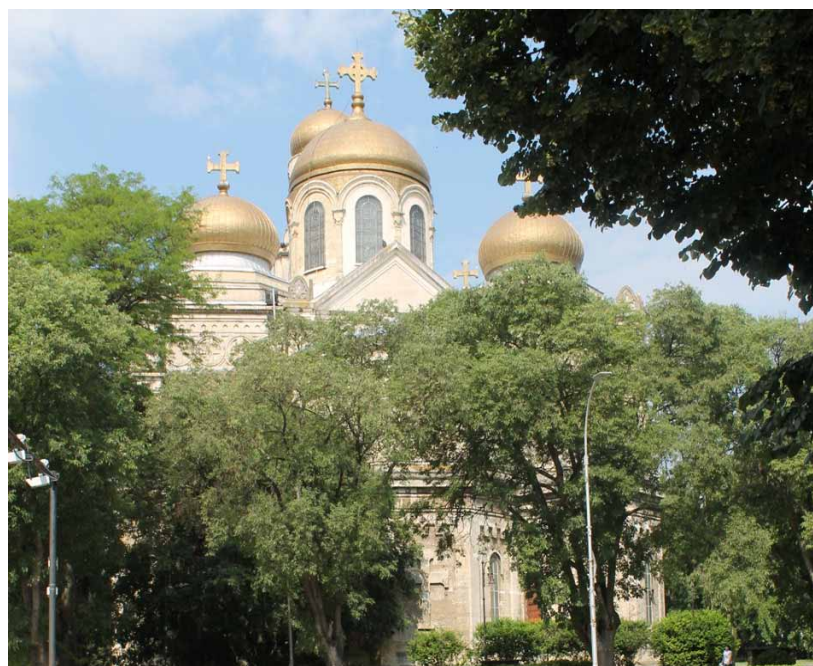
Z końcem wieku XIX portowe niewielkie miasto Warna weszło w fazę rozwoju gospodarczego, zwiększały się też potrzeby mieszkańców, w tym również i religijne. Dotychczasowe cerkwie były w bardzo słabym stanie technicznym i nie były w stanie zaspokoić ambicji ani miejscowej ludności, ani też prawosławnego duchowieństwa. Impulsem do budowy nowej świątyni stał się przyjazd rosyjskiego księcia Dandukowa-Korsakowa, zaprosił on władze miasta na uroczystą mszę do kościoła Archanioła Michała. Po uroczystości książę nie krył swojego rozczarowania stanem cerkwi i zwrócił uwagę władzom miasta i metropolicie Simeonowi, że Warna potrzebuje nowej świątyni. Chodziło tu również o bliższe stosunki z cerkwią rosyjską i o oddzielenie się od patriarchatu greckiego.

Metropolita Symeon mocno wziął sobie do serca opinię rosyjskiego księcia, skupił wokół siebie co bardziej wpływowych obywateli i urzędników miejskich i 9 listopada 1879 roku powołano komitet budowy cerkwi katedralnej w Warnie.

Zadaniem komitetu było przygotowanie inwestycji do jej realizacji, a w szczególności wybór lokalizacji oraz gromadzenie funduszy i materiałów, a także sporządzenie projektu budowlanego.

Całkowitą wartość inwestycji oszacowano na kwotę około 300-400 tys. franków francuskich, uważano, że większość tej kwoty zostanie pokryta z darowizn wiernych, jednakże okazało się to mało realne, w ciągu kilku miesięcy zebrano zaledwie 15 000 franków, co było ewidentnie sumą zbyt małą, aby rozpocząć budowę. Postanowiono więc finansować inwestycję poprzez loterię. Przygotowano 150 000 losów po 2 lewa każdy. Ponadto rząd udzielił pożyczki w wysokości 100 000 lewa na ten cel, której gwarantem zostały władze miejskie.

Po długim namyśle wybrano wreszcie miejsce i przystąpiono do dalszych działań. 4 sierpnia 1880 roku do Warny przybył książę Aleksander I Battenberg będący pierwszym władcą niepodległej Bułgarii. Książę był



synem księcia Aleksandra Heskigo i Julii Hauke córki polskiego generała Maurycego Hauke Bossaka, pochodził ze związku małżeńskiego morganatycznego, czyli takiego, które nie dawało prawa zrodzonych z niego dzieciom do dziedziczenia tronu. Był więc książę po kądzieli Polakiem. Uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod budowę cerkwi katedralnej odbyła się w dniu 22 sierpnia.

Zaraz po tej uroczystości książę ogłosił częściową amnestię i kazał wypuścić na wolność wszystkich, którym do końca kary pozostało jeszcze mniej niż trzy miesiące.

Zaraz po wmurowaniu kamienia węgielnego przystąpiono do prac budowlanych. Wykonanie projektu powierzono

rosyjskiemu architektowi z Odessy Massie, który za swoją usługę miał dostać 6000 lewa, jednakże szybko okazało się, że kwota ta nie zadowalała go i zażądał podwyżki za sporządzenie projektu cerkwi, wówczas przedstawiciele inwestora postanowili wykupić od niego projekt i nie angażować go już w dalsze prace.

Fundamenty katedry wykonane są według właśnie tego projektu, a cały gmach został wykonany zgodnie z projektem miejskiego architekta P. Kupki. Były też problemy ze znalezieniem odpowiedniego majstra budowlanego, który by poprowadził prace. Wstępnie zadanie to

powierzono miejscowemu majstrowi Wasilowi Iwanowowi, po długich poszukiwaniach znaleziono ostatecznego wykonawcę, został nim Janko Konstandi, a następnie od 15 marca 1884 roku budowę prowadził Genczo Kanczew.

Do budowy świątyni starano się wykorzystać głównie materiały miejscowe, aby obniżyć koszty i tak zużyto część kamieni ze zniszczonych dawnych murów miejskich oraz okolicznych kamieniołomów. Natomiast z Anglii przywieziono miedziane płyty przeznaczone na dach oraz sprzęt do podnoszenia bloków kamiennych.

Według projektu warneńska katedra jest zbudowana na planie krzyża o wymiarach 35 na 35 metrów. Składa się z nawy głównej i dwóch naw bocznych. W nawie głównej znajduje się ołtarz główny poświęcony Zaśnięciu Matki Bożej; nawa północna poświęcona jest św. Aleksandrowi Newskiemu, a nawa południowa św. Mikołajowi Cudotwórcy.

Świątynię wzniesiono w roku 1885. Pierwsze nabożeństwo odbyło się jednak rok później – 30 sierpnia 1886 roku, trwały bowiem prace związane z wykończeniem wnętrza i wyposażeniem obiektu.

Jednakże prace przy wykańczaniu i wyposażeniu katedry trwały jeszcze przez wiele lat. Będący dziełem Niko Mavrudiego tron biskupi został zainstalowany dopiero w roku 1897, a wykonany przez Iwana Filipowa ikostas rok później.

Postanowiono też dokonać pewnych modyfikacji obiektu, zrezygnowano bowiem ze wzniesienia wieży, gdzie miała być dzwonnica, zamiast tego podniesiono kopułę, dostosowując część budynku do pełnienia funkcji dzwonnicy. Znajdujący się tam dzwon według projektu miał ważyć 1600 kg, a na nim miała znajdować się inskrypcja «Na cześć wyzwolicie-la». Dzwonnica została jednak wzniesiona dopiero w latach II wojny światowej (1941-1943) według projektu Stefana Popowa, jej wysokość wynosi obecnie 38 m.

Z Rosji do warneńskiej katedry zostały przywiezione w roku 1901 dary cara Mikołaja II, były nimi 42 małe i 3 duże ikony. Obecna podłoga została pokryta płytami ceramicznymi w roku 1911, w 1915 roku wykończono balkony.

W czasach II wojny światowej zainstalowano w katedrze ogrzewanie parowe, po wojnie w roku 1949 zawieszono efektowne żyrandole będące dziełem P. Kuszlewa, zaś w roku 1960 wykonano kolorowe witraże.

Obecnie katedra, stojąc w jednym z centralnych punktów miasta, oprócz tego, że spełnia swoje funkcje sakralne, jest też miejscem odwiedzanym przez licznych turystów.

Grzegorz Wojciechowski



Kolej w góry ruszyła

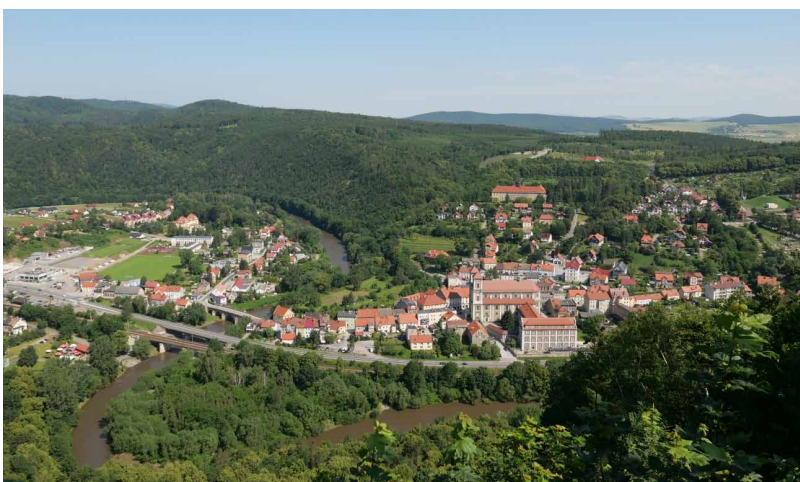
Trudno się było z tego powodu nie ucieszyć, a zatem 27 czerwca stawiło się na dworcu we Wrocławiu osób łącznie 34, które szczęśliwie zostały dowiezione przez Koleje Dolnośląskie do Barda. Pozostało nam tylko przejść ponad 20 km, by znaleźć się na stacji Kłodzko Główne.

Muszę przyznać, że wycieczka zorganizowana przez Jana Kozdrowskiego jako jej przewodzącego i Szymona Tujaka w roli zamykającego miała dla mnie szczególne znaczenie. Przede wszystkim była to jedna z moich pierwszych tras, które przeszłam po bardzo długiej absencji od gór, a po drugie była to pierwsza zorganizowana przez PTTK Odział Wrocławski wyprawa po kwarantanie związanej z Covid-19.

W tym miejscu pozwolę sobie na małą dygresję. Od czasu pojawienia się w Polsce Covid-19 w miarę możliwości staram się unikać skupisk zbiorowych, a zwłaszcza środków masowego transportu co nie jest, co prawda, związane z nadmierną troską o samą siebie, ale z pewnością z troską o osoby starsze, które mam w swoim otoczeniu, też i tym bliskim. Z mojego punktu widzenia słuszna zatem wydaje się decyzja PTTK Odział Wrocławski, by na jakiś czas zaniechać organizacji tego typu wyjazdów, którą przyjąłam z mieszanymi odczuciami żalu i ulgi, przynajmniej nic mnie nie kusi.

Wracając jednak do meritum, z Barda ruszyliśmy niebieskim szlakiem na Szeroką Górę, po drodze mijając ruiny zamku obronnego z XIV wieku, o którym opowiedział nam Szymon Tujaka. (Zdj. 1. autor Szymon Tujaka).

Dalej powędrowaliśmy na Obryw Skalny znajdujący się na stoku Góry Kalwarii, gdzie, zachowując zasady bezpieczeństwa, zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie. (Zdj. 2. autor Jan Kozdrowski). Był też i czas na krótką przerwę i posiłek regeneracyjny.



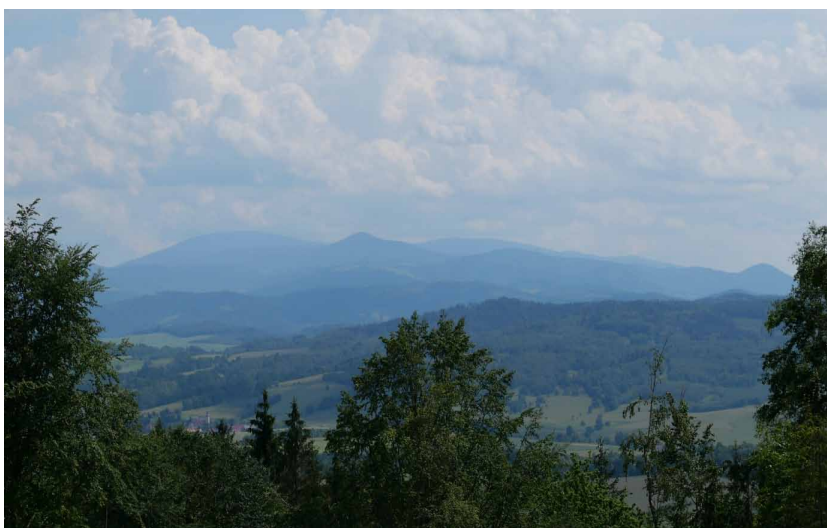
Z tego miejsca rozpościera się przepiękny widok na Bardo i przełom Nysy Kłodzkiej. (Zdj.3. autor Radosław Tokarz)

Posuwając się dalej niebieskim szlakiem, dotarliśmy na Ostrą Górę, zmierzając na Szeroką Górę, by potem żółtym szlakiem dojść na Kłodzką Górę i zerknąć na fundamenty budującej się tam wieży widokowej. Po krótkiej przerwie zaczęliśmy zmierzać w kierunku Jedlaka. Spod niego rozpościerał się cudowny widok na Grzbiet Zachodni Gór Bardzkich i Góry Sowie (Zdj.4. Radosław Tokarz).

Posuwając się dalej żółtym szlakiem w kierunku Kłodzka, dotarliśmy do Obszernej, spod której szczytu rozpościerał się widok od lewej na Łaszczową, Ostrą Górę, Gajnik, Szeroką Górę i Kłodzką Górę (Zdj. 5. Radosław Tokarz). Wszystko wynagrodził nam widok z Obszernej na Masyw Śnieżnika. (Zdj. 6. Radosław Tokarz).

Wycieczka powoli zbliżała się ku końcowi. W Kłodzku zjedliśmy ciepły posiłek i pociągami Kolei Dolnośląskich udaliśmy się do Wrocławia.

Anna Meissner



Jelenia Góra na najwyższym szczycie Polski

Rysy to w zasadzie góra, ale to także symbol. Każdy, kto na nią wchodzi, wie, że jest ona najwyżej położonym szczytem w Polsce. Oczywiście tak jest, ale same Rysy to także drugi wyższy o kilka metrów wierzchołek położony po stronie słowackiej. Nasz szczyt ma nieco ponad 2499 metrów n. p., m. natomiast ten drugi mierzy 2503 metry. W sumie niewielka różnica, ale jednak... Wszak pokonujemy magiczne 2500.

Planując wyprawę na Rysy, musimy odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie: czy chcemy oprócz sporego wysiłku coś zobaczyć podczas drogi czy tylko mieć satysfakcję, że weszliśmy na górę? W drugiej wersji należy wybrać trasę prowadzącą od strony polskiej. Jest tam tyle łańcuchów ułatwiających wejście, że nie powinno ono przysporzyć nam problemów. Tyle tylko, że zasapani będziemy bardziej uważać na to, czy trzymamy się łańcuchów niż rozglądać się wokoło. Zwłaszcza, gdy za nami będą podążać kolejne osoby.

Wybierając pierwszą wersję, czyli wejście od strony słowackiej, praktycznie będziemy skazani na zachwywanie się widokami, jakie rozpościerają się przed nami jak i za nami. Myślę jednak, że ta wersja jest najbardziej optymalna. Nie dość bowiem, że jest to wersja widokowa, to chyba bardziej bezpieczna, przynajmniej dla mniej wprawionych turystów.

Zanim jednak wyruszymy na trasę, trzeba odpowiednio się przygotować. Przede wszystkim należy znaleźć bazę noclegową. Taką niezbyt drogą, a jednocześnie położoną blisko stacji kolejki górskiej jest miejscowość Nová Lesná. Popularna Elektryczka to w zasadzie dwie linie. Pierwsza na trasie Poprad – Stary Smokowiec – Szczyrbskie Jezioro o długości 29 km; druga na trasie Stary Smokowiec - Tatrzańska Łomnica o długości 6 km. Niech jednak nikogo nie zwiedzie ich długość. To, że jest tylko 30 km wcale nie oznacza, iż będziemy jechać nie wiadomo jak szybko. Na przejechanie całej trasy potrzeba dobrze ponad godzinę. Pierwszy odcinek kolei uruchomiono w 1908 roku.

Dzisiaj dla turystów Elektryczka to idealne rozwiązanie pozwalające pozostawić samochód w pensjonacie i realizować zaplanowane spacer. Co prawda, w każdej miejscowości są przygotowane parkingi, ale po pierwsze za nie też trzeba zapłacić, po drugie takie rozwiązanie zmusza nas do zejścia z gór w to samo miejsce.

Tym razem nasz wyjazd zaplanowałem w dniach 23-26 lipca. Chodziło o to, by mieć kilka dni na wyprawę właściwą i jakiś zapas na ewentualne załamanie pogody.

Głównym punktem programu było wejście na Rysy i odwiedzenie Symbolicznego Cmentarzyka. I w zasadzie wszystko zostało zrealizowane. Pogoda była wyśmienita, choć kilka razy dopadł nas deszcz, ba, nawet grad.

Miejscowość Nová Lesná to bardzo malownicza osada. Pośrodku znajduje się kościół pw. Przemienienia Pańskiego. Ta niewielka świątynia położona nad sztucznym zbiornikiem wodnym utworzonym na przepływającym potoku ma skromny, acz ciekawy wystrój. Znajdują się tutaj relikwie św. Jana Pawła II. W dobie pandemii zarówno do świątyni jak i innych obiektów publicznych musimy, wchodząc, zakładać maseczki ochronne. Muszę powiedzieć, że jest to przestrzegane. Widać to zwłaszcza w Elektryczce.

Wyruszając na naszą wyprawę, musimy wstać bardzo wcześnie. Najlepiej o 4 rano, chodzi o to, by zdążyć na pierwszy pociąg jadący tuż po piątej. Pozwoli to nam na dotarcie do Popradzkiego Jeziora o porze umożliwiającej spokojne wejście na Rysy i zejście z nich przed załamaniem się pogody. Jest to o tyle ważne, że pogoda w górach jest bardzo zmienna, a w prognozy nie bardzo można wierzyć. Lepiej zatem wyjść z domu wcześniej i mieć komfort czasowy na powrót.

Dzięki kolei docieramy na wysokość 1250 metrów. Drugie tyle będziemy musieli pokonać na własnych nogach. Początkowo trasa wydaje nam się bardzo lekka. Szlak niebieski, którym podążamy, pnie się powoli w górę. Musimy tylko uważać, gdyż z rana po ułożonym tutaj asfalcie kursują samochody dostarczające towar do schroniska znajdującego się nad Popradzkim Stawem.

Zanim przekroczymy szlaban, zobaczymy niewielką wystawę ciekawych rzeźb przedstawiających przede wszystkim głowy różnych postaci. Obsługujący szlaban okazuje się być autorem tych prac. W lecie, kiedy jest ciepło, rzeźbi w drewnie, a zimą wykuwa swoje wizje w dużych głazach znajdujących się na poboczu drogi. Jeśli komuś spodoba się któreś dzieło, może je nabyć. W sumie może być ono fajną pamiątką.

Przed nami około godzinne podejście łagodną drogą. Z lewej widzimy dwutysięczniki zamykające Mięszowicką Dolinę. Pierwszy z nich to Skrajna Baszta, kolejny Mała Baszta. Po prawej widzimy Osterwę o wysokości 1978 metrów, na którą prowadzi czerwony szlak turystyczny. Co prawda ze względu na wysokość do pokonania nie jest on łatwy, ale wejście nim jest nagrodzone niesamowitym widokiem na kolejne szczyty. My, nie docierając do Popradzkiego Stawu, skręcamy za znakami żółtego szlaku turystycznego i kierujemy się na Symboliczny Cmentarz (Tatrzański Cmentarz Symboliczny).

Projekt powstania cmentarza w 1922 roku poddał czeski taternik Otokar Štáfl. Początkowo nie było jednomyślności co do miejsca pod cmentarz, w końcu w 1934 roku zdecydowano, że będzie to zbocze Osterwy. Najpierw wzniesiono tutaj murowaną kapliczkę projektu Róberta Vasyki. Uroczyste otwarcie miało miejsce 11 sierpnia 1940 roku. Na cmentarzu umieszczono motto: „Umarłym na pamiątkę, żyjącym ku przestrodze”.

Początkowo umieszczono tutaj tablice upamiętniające osoby, które zginęły w Tatrach, a które zostały umieszczone przez rodziny w miejscach ich śmierci. W ten sposób oczyszczono góry z tego typu pamiątek. Później wszystkie tragedie tatrzańskie upamiętniano już w tym symbolicznym miejscu. Obecnie znajduje się tu ponad 300 tablic upamiętniających kilkaset osób. Ponieważ nie stosuje się ograniczeń narodowościowych, możemy znaleźć m.in. nazwiska polskie. Najbardziej znani to legendarny Klimek Bachleda – przewodnik i ratownik, który zginął w 1910 roku, podążając na ratunek turyście na Małym Jaworowym Szczycie



i Mieczysław Karłowicz – kompozytor, któremu życie odebrała lawina śnieżna. Wśród tablic można dostrzec kilka upamiętniających ludzi, którzy nie zginęli w Tatrach. Są to tablice poświęcone pomysłodawcy powstania cmentarzyka Otokarovi Štáflovi oraz jego żonie. Są także tablice poświęcone himalaistom, którzy na zawsze pozostali w górach wysokich m.in. Jerzemu Kukuczce czy Wandzie Rutkiewicz.

To wyjątkowe miejsce warto jest, by spędzić w nim trochę czasu i zapoznać się z opisami zamieszczonymi na tabliczkach. Zobaczmy, że większość ludzi tu upamiętnionych to osoby w bardzo młodym wieku. Co więcej, to osoby z dużym doświadczeniem: narciarze, taternicy. Powinno to nam dać do przemyślenia. Widać bowiem, że z górami nie ma żartów, każdy, nawet najmniejszy błąd działa na naszą niekorzyść. A więc, wyruszając na górską wyprawę, dobrze jest nie tylko odpowiednio się wyekwipować, ale także przemyśleć plan drogi i ułożyć go pod nasze możliwości.

Teraz najlepiej zejść do schroniska przy Popradzkim Stawie. Pozwoli to nam nieco ochłoniąć, może zastanowić się, czy wszystko dobrze przemyśleliśmy pod względem dzisiejszej wycieczki, no i oczywiście odpocząć. Ważne jest by przed wyjściem na dalszą trasę napić się czegoś ciepłego, a nawet zjeść jakąś zupę, od razu pocujemy się lepiej. Nabierzemy zarówno sił na dalszą drogę jak i chęci doń.

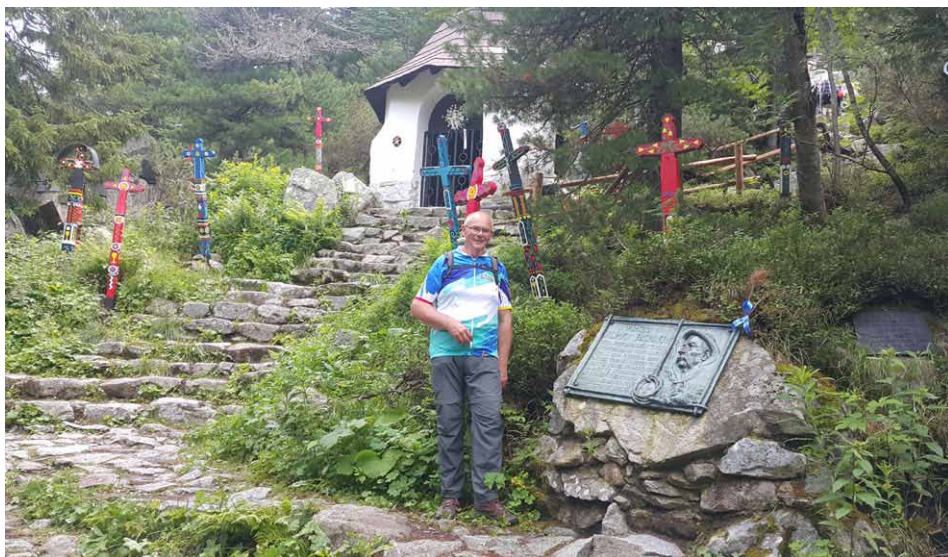
Jesteśmy na wysokości 1500 metrów. Przed nami drugie tyle. Dalej nie ma już asfaltu, zaczyna się typowa górską ścieżka. Idziemy wzdłuż Mięgoszowieckiego Potoku, dalej za znakami niebieskimi. Po pół godziny podchodzenia docieramy do rozejścia nad Żabim Potokiem. To w tym miejscu bierze początek szlak koloru czerwonego, który doprowadzi nas na Rysy. I to tutaj po raz pierwszy spotykamy tragarzy niosących zaopatrzenie do Schroniska pod Wagą zwanego także Chatą pod Rysami.

Co prawda, widzieliśmy niżej przygotowane plecaki, a właściwie nosidełka załadowane kartonami i beczkami z piwem, ale jakoś do nas nie dotarło, że to właśnie te ciężary ktoś musi wnieść do położonego wyżej schroniska. Nie ma tam innej możliwości dostarczania zaopatrzenia. Śmiałowie idący na pusto mogą w czynie społecznym wносить powierzone towary. Otrzymają za to stosowny certyfikat i malinową herbatę. Nie jest to jednak takie proste. Jeśli ktoś nie czuje się na siłach, lepiej by tego nie próbował. W miarę wchodzenia spotykamy kolejnych tragarzy. Każdy z nich ma swoją technikę chodzenia. Jedno jest wspólne – liczne odpoczynki bez zdejmowania nosidełek. Zapytany tragarz powiedział, że jego ładunek waży 60 kg i że takie wejście robi raz dziennie.

Na razie skala trudności podejścia nie zmienia się radykalnie. Jest tak do mostku, którym przechodzimy po Żabim Potoku. Dalej wszystko zaczyna się zmieniać. Droga wyraźnie staje się bardziej stroma. Coraz bardziej trzeba uważać, gdzie stawiamy nogi. No i coraz trudniej się oddycha. Chociaż to akurat mnie nie dotyczy. Mój organizm już się przyzwyczaił do takiego wysiłku. Powolutku mijamy Żabią Dolinę i nacieszywszy się widokiem na Wielki i Mały Żabi Staw Mięgoszowiecki wchodzimy na pierwszy płat śniegu. Co prawda, mamy środek lata, ale na tej wysokości w niektórych miejscach śnieg zalega bardzo długo. Jest on niestety dosyć plastyczny i przez to bardzo śliski. Trzeba zatem bardzo uważać, by się nie pośliznąć, bo na pewno taki upadek skończyłby się zjechaniem dużo niżej.

Teraz przed nami dosyć wymagające podejście Kotlinką pod Wagą, ale nie jest źle, gdyż założono tutaj ułatwienia w postaci klamer, łańcuchów i metalowych schodów. Bardzo ułatwia to mijanie się na trasie ze schodzącymi z góry. Okazuje się, że widoczni na zboczu tragarze korzystają z innych ścieżek, nieposiadających takich ułatwień. Te bowiem dla turystów wspomagają ich bezpieczeństwo a tragarzom bardzo często przeszkadzają. Dlatego wolą oni z nich nie korzystać, jeśli nie muszą.

Pnąc się coraz wyżej, wkraczamy do „Wolnego Królestwa Tatr” jak widnieje na umieszczonym na skale napisie. Chwilę później przekraczam bramę modlitewną. W sumie ten szczegół zrozumie tylko ten, kto był chociaż raz w Himalajach. Tam takie chorągiewki spotkamy na niemal



każdym szczycie czy każdej przełęczy. Tutaj to coś niepasującego do otoczenia.

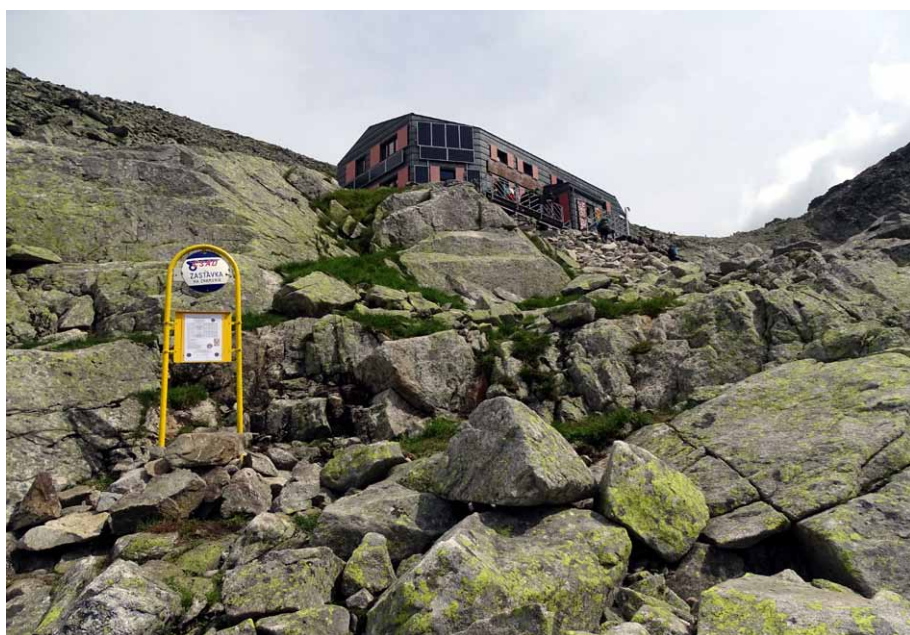
Kolejnym zaskoczeniem dla idącego resztkami sił turysty może być widok przystanku autobusowego zlokalizowanego pod widocznym już schroniskiem. To wynik fantazji z dawnych lat. Wniesiony tu znak autobusowego przystanku na żądanie został ustawiony i wyposażony w rozkład jazdy na linii Szczyrbskie Jezioro – Rysy – Szczyrbskie Jezioro. Są nawet godziny przyjazdów i odjazdów autobusów. Jeżeli ktoś weźmie to na poważnie, może nieźle się zdziwić, czekając w nieskończoność na przyjazd autobusu.



Myślę, że lepiej usiąść sobie na tarasie najwyższej w Tatrach położonego Schroniska pod Wagą znanego jako Chata pod Rysami. Jesteśmy na wysokości 2250 metrów n.p.m. Do szczytu pozostało nam już tylko 250 metrów różnicy wzniesień. Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że to już koniec wysiłku. Niestety, to nie koniec. Aby dotrzeć na szczyt, trzeba jeszcze poświęcić co najmniej godzinę czasu. Może nawet więcej. Wszystko zależy od pogody, która na tej wysokości potrafi zmienić się z minuty na minutę. Sama zaś dalsza droga nie przypomina dotychczasowej ścieżki. Teraz przed nami najpierw spory łańch śniegu, później głązy, po których często będziemy przechodzić na czworakach.

Na razie jednak warto wejść do schroniska i odpocząć. Kto musi, to powinien skorzystać z toalety, bo wyżej nie będzie już takiej możliwości. Jakieś 100 metrów od schroniska znajduje się najwyższej w Tatrach położona ubikacja, której przednia ściana zabezpieczona jest szybą umożliwiającą podziwianie przepięknego widoku na leżącą poniżej dolinę. Samo schronisko czynne w okresie letnim jest dosyć dobrze zaopatrzone i można tutaj w bardzo przyzwoitych cenach zjeść smaczny obiad. A jak już wcześniej wspomniałem, wszystkie produkty są tu wnoszone przez tragarzy. Dlatego też wyznaczono tu miejsce, w którym składane są worki ze śmieciami i każdy schodzący turysta, jeśli czuje się na siłach, może zabrać taki worek z sobą, by znieść go na dół i pozostawić w przeznaczonym do tego miejscu.

Po odpoczynku ruszamy na ostatni etap naszej wspinaczki, tak bowiem możemy określić ten ostatni odcinek trasy na Rysy. Najpierw musimy ostrożnie przejść ścieżką wydeptaną w zalegającym tu śniegu. Na wszelki wypadek ustawiono tu znak zakazu wchodzenia w szpilkach. Gdy uda nam się to, docieramy na Przełęcz Wagę (2340 metrów) rozdzielającą Rysy od sąsiedniego szczytu o nazwie Wysoka. To właśnie w tym miejscu musimy, w zależności od naszych sił i panującej akurat pogody, podjąć ostateczną decyzję, czy czujemy się na



siłach by podążać dalej czy jednak zawracamy i schodzimy do schroniska. Jest to o tyle ważne, że ten ostatni odcinek naprawdę jest bardzo wymagający i niebezpieczny, zwłaszcza po opadach, po których skały stają się bardzo śliskie. A, niestety, tutaj nie ma zbyt wielu ułatwień. Trzeba także brać pod uwagę, że gdy panuje ładna pogoda, są tu prawdziwe tłumy.

Tym razem, ze względu na zapowiadane opady, ludzi jest bardzo mało, ledwie kilkadziesiąt osób. Niestety, widzimy, jak z sąsiednich szczytów wiatr nawiewa ciemne

chmury. Źle to wróży. Dlatego decydujemy się iść dalej bez tracenia czasu na podziwianie panoram. Wspinamy się coraz wyżej. Problemem są miejsca, w których spotykamy schodzących w dół. Czasami minięcie się jest bardzo niebezpieczne i należy zachować jak najdalej idącą ostrożność. Upadek z tej wysokości mógłby zakończyć się tragicznie. Na końcowym odcinku nie ma co się krępować, trzeba wykorzystywać wszystkie możliwości pozwalające bezpiecznie dostać się na szczyt. Nie dziwi nikogo gdy idziemy na czworakach czy momentami wręcz wpełzamy na poszczególne kamienie.



W końcu docieramy na najwyższy szczyt Tatr (2499 metrów) położony na granicy polsko-słowackiej. Jesteśmy na najwyższej górze Polski. Udało się. Osiągnęliśmy zaplanowany cel. Musimy jednak nieco poczekać, by znajdujący się tu ludzie nacieszyli się i zwolnili miejsce dla kolejnej grupy. Stajemy przy słupku granicznym do pamiątkowych fotografii. Zgodnie z naszym założeniem robimy sobie zdjęcia ubrani w koszulki z logo naszego miasta Jeleniej Góry. Rozkładamy także flagę Jeleniej Góry. Od razu wzbudza to zainteresowanie pozostałych. Większość kojarzy, gdzie leży Jelenia Góra, wiedzą, że to Karkonosze. Są jednak tacy, którzy pytają się, gdzie leży nasze miasto.

Gdy tak sobie odpoczywamy, podziwiając panoramy, nagle pojawia się mgła i wiatr przywiewa ciemne chmury. To znak, że pora schodzić na dół. Zanim to czynimy, podejmuję ostatni wysiłek i wdrapuję się na sąsiedni szczyt o wysokości 2503 metry n.p.m. Teraz mogę powiedzieć, że zdobyłem Rysy w całości.

Ze względu na psującą się pogodę staramy się w miarę szybko opuścić szczyt. Nie jest to jednak wcale takie proste. Często musimy ześlizgiwać się na pupie, tak jest najbezpieczniej. Gdy docieramy na Przełęcz Wągę, pogoda ponownie się poprawia. Możemy spokojnie zejść do schroniska by odpocząć, coś zjeść i jeszcze raz spojrzeć na szczyty, na których dopiero co byliśmy.

Teraz czeka już nas ciągle tracenie wysokości. O dziwo, mimo późnej pory wciąż spotykamy ludzi idących pod górę. Ze względu na pogodę nie jest to zbyt rozsądne. Ale cóż, każdy ma swoją filozofię. Po drodze spotykamy jednego z tragarzy, który z pomocą kolegów znosi pusty keg. Wygląda na to, że swój dzisiejszy zarobek skonsumował na miejscu i trochę płaczą mu się nogi. Za to tryska świetnym humorem. Zaraz też słyszymy, jak wszyscy śpiewają górskie piosenki. Do tego pasąca się między skałami kozica bacznie się nam przypatruje. Wcale się nas nie obawia. Pewnie widzi, jak jesteśmy zmęczeni.

Na szczęście udaje nam się zejść na wysokość mostka na Żabim Potoku, gdy zaczyna padać deszcz. Teraz można troszeczkę przyspieszyć, jednak trzeba zachować ostrożność. Tym bardziej, że po chwili z nieba lecą kulki gradu wielkości grochu. Ścieżka zmienia się w koryto rwącego potoku. Robi się nieciekawie. Nie ma gdzie się schować. Jedynym rozsądnym wyjściem jest ciągle zejście w dół przez las, który właśnie osiągnęliśmy.

Marsz w takich warunkach spowodował, że rozdzieliliśmy się i gdy wreszcie dotarliśmy do Schroniska Majlatha, nie mogliśmy się odnaleźć. Fakt, schronisko było nabite ludźmi do oporu, ale nie to stwarzało problem. Okazało się, że obiekt położony w dolinie nie daje żadnej szansy na działanie telefonów. Z tego powodu nie możemy się dzwonić. W końcu po wielu próbach udaje się nam odnaleźć. Okazało się, że pozostali uczestnicy wyprawy na odpoczynek wybrali schronisko przy Popradzkim Jeziorze stojące kilkadziesiąt metrów dalej. Tam także nie było możliwości skorzystania z telefonu. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, a gdy przestał padać deszcz, mogliśmy ruszyć dalej. Tym razem wybraliśmy szlak czerwony prowadzący do Szczyrbskiego Jeziora. Była to trasa nieco dłuższa, ale za to wiodąca lasem, co miało znaczenie w razie ponownych opadów deszczu. Po godzinie dotarliśmy do stacji kolejowej i wsiedliśmy do Elektryczki, którą wróciliśmy do miejsca naszego noclegu.

Krzysztof Tęcza

Na Przełęcz Okraj w czasie zamknięcia granic

Jest początek długiego weekendu czerwcowego. Kolejno znoszone ograniczenia, takie jak zakaz wstępu do lasu czy konieczność noszenia maseczek w otwartej przestrzeni, pozwalają nam wrócić do „nowej normalności”, oczywiście przy zachowaniu „dystansu społecznego” (uwielbiam tę nowomowę). W czasie pandemii i obostrzeń decydujemy się na powrót w Karkonosze. Szukając niezatłoczonych szlaków, wybieramy wschodnią ich część. Gdy piszę te słowa, możliwości poruszania się szlakami są jeszcze nadal mocno ograniczone, więc zamiast zdobycia Śnieżki przez grzbiety Kowarski i Czarny celem naszej wędrówki staje się sama Przełęcz Okraj.

Wycieczka jest zaplanowana na tylko pół dnia oraz na lekko i luźno, wyruszamy więc jak „prawdziwi turyści” dopiero o godz. 11⁰⁰ z Kowarskiej Starówki szlakami Tradycji Górniczych i żółtym oraz trasą spacerowo-biegową „Kowarska Dycha”. Mijamy Dom Tradycji Miasta Kowary z siedzibą Stowarzyszenia Miłośników Kowar. Przechodzimy obok pozostałości „Kuźnicy” – hotelu i restauracji z dyskoteką wyburzonego w dniach 9-12 marca 2020 roku. Po chwili zadumy na gruzach miejsca nieszczęścia wielu kowarskich rodzin ruszamy dalej.

Przechodzimy przez osiedle górnicze zbudowane w latach 1949-1953 dla kadry górniczej Zakładów Przemysłowych Rud Uranu 1 (ZPR-1). Za osiedlem na chwilę dołącza do nas ścieżka przyrodnicza „Zielone Karkonosze”. Przecinamy nieczynną linię kolejową łączącą niegdyś Kowary z Kamienną Górą przez tunel o długości 1025 m. Podchodzimy asfaltową drogą zwaną „Ścieżką Zdrowia”. Przed wiatą skręcamy w lewo. Żegnamy szlak żółty na Skalny Stół oraz ścieżki edukacyjno-przyrodnicze „Zielone Karkonosze” i „Jedlinki”, która zaczyna tu swój bieg. Zostajemy na trasie spacerowo-biegowej i Szlaku Tradycji Górniczych, wchodząc na szlak zielony.

Po lewej stronie mijamy szyb nr 4. Przypomina nam się tragedia z lipca 1994 roku, kiedy to, podczas próby eksploracji tego miejsca, zginął 14-letni Wojtek. Spadł na dno szybu podczas opuszczania się po linie. Jego kolega Damian sprowadził pomoc, ale Wojtka nie udało się już uratować.

Po kilkunastu minutach mijamy Uroczysko – malowniczą dolinę Piszczaka będącą kiedyś atrakcją turystyczną zwaną „Szwajcarią Pohla”. Tu żegnamy szlak zielony, który wiedzie do centrum Kowar i Szlak Tradycji Górniczych, który prowadzi wzdłuż dawnych terenów pogórniczych do podziemnych tras turystycznych „Kopalnia Liczyrzepa” i „Kopalnia Podgórze”. Mijamy potok Pluszcz, który nad Uroczyskiem łączy się z innym potokiem – Piszczakiem. Dołącza do nas szlak żółty. Jesteśmy na Żółtej Drodze. Mijamy potok Piszczak i dawną trasę zjazdu saniami. Przez drzewa po lewej stronie Żółtej Drogi „przebija się” widok na pozostałości ZPR-1 – dawny Zakład Doświadczalny Politechniki Wrocławskiej „Hydro-Mech”, a ciut dalej – na „Kopalnię Liczyrzepa”.

Docieramy do rozwidlenia dróg wokół „Wysepki”. Tu, zarówno my, jak i nasz pies, który wędruje z nami, decydujemy się nie iść dalej Żółtą Drogą i szlakiem żółtym. Powodem jest to, że potem szlak żółty mocno wspina się na Przełęcz Okraj, a założeniem naszej wycieczki jest przejście całej trasy na luźno.

Idziemy więc inaczej. Opuszczamy szlak żółty i skręcamy w prawo trasą spacerowo-biegową. Trawersujemy zbocze Wołowej Góry, na szczycie której znajduje się punkt widokowy i startowisko paralotni. Ponownie przecinamy Piszczaka. Docieramy do rozwidlenia dróg przy Pluszczu. Tu chwila przerwy na drugie śniadanie.

Przy Pluszczu dołącza do nas szlak koński z Western City w Ścięgnach znakowany na pomarańczowo, z którym skręcamy w lewo do Białego Źródła.



Obiekt MRG2 na Piszczaku

Przy Białym Źródle żegnamy trasę spacerowo-biegową „Kowarska Dycha” i skręcamy w lewo szlakiem końskim.

Po kilkunastu minutach docieramy do Małej Jamy. Po raz kolejny mijamy Piszczaka, który przepływa tu przez drogę obiektem MRG2. Obiekt wygląda na niedawno oddany do użytku. Ciekawe, czy sprosta nawalnym opadom deszczu, które mogą wystąpić latem?

Ruszamy po chwili przerwy. Po lewej stronie odsłaniają nam się widoki na Góry Kaczawskie, Kotlinę Jeleniogórską i Rudawy Janowickie. Maszerujemy dalej. Wyłączamy komórki, aby nie dostać zaproszeń do stawienia się na kwarantannę. Wieść gminna niesie, że niektórzy kowarczanie, będąc na swojej działce kilka km od granicy państwa, której oczywiście nie przekraczali, dostali takie zaproszenia, bo ich komórki „złapały” zasięg czeskiego operatora, którego sygnał był mocniejszy w tym miejscu niż polskich operatorów sieci komórkowych.

Przechodzimy przez Karkonoski Park Narodowy. Po lewej widzimy fragment panoramy z Kotliną Kamiennogórską i Górami Wałbrzyskimi. Już po chwili opuszczamy KPN i mijamy Amelkową Chatę, przed którą jest pusto.

Docieramy na Przełęcz Okraj (1046 m n.p.m.). Droga do Czech jest zablokowana. Przejście graniczne jest zamknięte. Strzeże go wojsko. Na przejściu stoją pojazdy opancerzone – jeden za parkingiem schroniska PTTK „Na Przełęczy Okraj”, a drugi obok Obecního úřadu v Malé Úpě. Jestem „za młody na Heroda”, ale są wśród nas osoby, które pamiętają stan wojenny i to, co widzą, przypomina im ten klimat.

Po zrobieniu pamiątkowych fotek udajemy się do schroniska PTTK „Na Przełęczy Okraj”. Na drzwiach wisi kartka z komunikatem, że obowiązuje sprzedaż z okienka, a w sprawie noclegów należy dzwonić do drzwi. Zamawiamy przez okienko herbatę i kawy. Rozmawiamy z miłą panią, która nas obsługuje. Pani żałuje, że niedługo przed pandemią Covid-19 przeprowadzono w schronisku inwestycje i teraz jest niedosyt środków finansowych. Pocieszamy ją, w końcu kiedyś będzie lepiej.

Siadamy przed schroniskiem. Trochę zaczyna padać, ale nie przeszkadza nam to. Widzimy, że do wojska dojeżdża partol straży granicznej. Wspominamy busik, który kiedyś kursował przez Kowary i Przełęcz Okraj z Karpacza do Pecy pod Sněžkou. Jechaliśmy nim nawet 3 l. p. e. (3 lata przed epidemią). Żywimy nadzieję, że kiedyś znów nadejdzie czas „keine Grenzen” i ten busik wróci na trasę.

Spotykamy starsze panie, które przyszły tu pieszo z Karpacza. Pytamy o Amelkową Chatę. Mówią, że próbowały tam wejść, ale obiekt był zamknięty. Opowiadają, że jak dotarły, panowała tutaj nerwowa atmosfera – wojsko pytało je, czy przyszły tu szlakiem czerwonym. Odpowiedziały, że nie, a teraz wracają tą samą drogą, którą przybyły, czyli szlakiem zielonym.

Po odpoczynku i konsumpcji przed schroniskiem ruszamy za nimi owym szlakiem zielonym, którego odcinek prowadzący z Okraju do Budnik jest nazywany „Tabaczną Ścieżką” („Tabaksteig”), bo przemycano tędy m.in. tytoń z Austrii do Prus. Znowu przez chwilę przechodzimy przez Karkonoski Park Narodowy. Potem idziemy już na jego skraju. Okazuje się, że zarówno my jak i starsze panie nie jesteśmy sami na tej trasie. Poza nami również dwie parki wędrują do Budnik, jedna para się jednak poddaje. Chyba zejście jest dla nich zbyt strome i wilgotne, bo Tabaczna Ścieżka to nie droga typu „Main Street” z chodnikiem jak np. z wyciągu na Kopę do Śnieżki, tylko prawdziwy, górski szlak turystyczny.

Po drodze dołącza do nas z prawej strony trasa spacerowo-biegowa „Kowarska Dycha”, z której zesliśmy przy Białym Źródle, a chwilę potem Szlak Miłośników Budnik z lewa. Po prawej stronie mijamy pozostałości „Mutter Kretschmer” – pierwszej gospody, która funkcjonowała w Budnikach oraz miejsca, w których kiedyś

Fot. Zbigniew N. Piepiora



Zamknięte przejście graniczne na Przełęczy Okraj

znajdowała się elektrownia wiatrowa oraz schronisko „Forstbaude”.

Schodzimy do centrum Budnik (Forstbauden). I tutaj spotyka nas niemiła niespodzianka. Zauważamy przewrócony słup z drogowskazami szlaków PTTK. Niestety, wandalę i tu dotarli.

Siadamy koło wiaty, bo w jej środku wszystkie miejsca są już zajęte. Podczas przerwy na odpoczynek i posiłek rozmawiamy z dwiema paniami, które spotkaliśmy na Okraju. Teraz kierują się na Skalny Stół, mimo że ze względu na zamknięcie granic naszego kraju i ochronę gatunkową jest to teraz szlak ślepy. Kibicujemy starszym paniom, bo wejście żółtym szlakiem na Skalny Stół w Karkonoszach jest równie trudne jak wejście na Krzemień z Przełęczy

Goprowskiej w Bieszczadach czy zdobywanie Smreka pasem granicznym w Górach Izerskich. A potem te panie jeszcze muszą zejść ze Skalnego Stołu tą samą drogą, co także wiąże się z dużym wysiłkiem.

Odpuszczamy sobie wizytę w sztolni poszukiwawczej ZPR-1 nr 21 w centrum Budnik. Siedzimy i rozważamy nad tym, od kiedy do kiedy w Budnikach nie ma słońca. I tu mała ciekawostka - według T. Stecia pożegnania i powitania słońca odbywały się w miejscowej szkole w listopadzie i lutym, zaś wg M. Staffy i jego zespołu piszącego SGTS poświęcony Karkonoszom – w listopadzie i marcu. Nie oznacza to, że przez tyle czasu, czyli 3-4 miesiące słońca nie ma w Budnikach. Stosownych pomiarów dla różnych miejsc w Budnikach dokonał A. Wojciechowski w 2015 roku. I tak w centrum Budnik, czyli na skrzyżowaniu szlaków żółtego i zielonego przy wiacie słońca nie ma tylko od 14 listopada do 28 stycznia (zainteresowanych odsyłam do artykułu: <http://naszesudety.pl/kiedy-budniki-zegnaly-sie-ze-slonce.html>).

Po owocnej rozmowie ruszamy w drogę powrotną do Kowar szlakiem żółtym. Mijamy pozostałości dawnej szkoły i ogródka alpejskiego. Przechodzimy przez pozostałości betonowego mostu na potoku Malina i potem przez kładkę na tym potoku, który wyznacza granicę między gminami Kowary i Karpacz. Mijamy ujęcie wody pitnej. Po ok. pół godziny marszu jesteśmy przy leśniczówce „Jedlinki”, która przed 1945 rokiem pełniła funkcję bufetu, a później restauracji. Tu dołącza do nas szlak zielony, który wiedzie od strony Kowar w kierunku Wilczej Poręby w Karpaczu oraz ścieżka edukacyjno-przyrodnicza „Jedlinki”, o której pisałem w „Na Szlaku” nr 6/2014: <http://www.na-szlaku.net/files/NS06-2014.pdf>.

Podczas odpoczynku w wiacie koło „Jedlinek” spotykamy grupę idącą na urodzinową wycieczkę na Budniki. Okazuje się, że prowadzi ją mój kolega z piaskownicy. Po dłuższej rozmowie i wspomnieniu naszej wyprawy na Budniki z dzieciństwa przychodzi czas na pożegnanie. Oni wchodzi szlakiem żółtym, a my schodzimy szlakami żółtym i zielonym oraz ścieżką „Jedlinki”.

Po prawej stronie mijamy głaz upamiętniający budowę przez Służbę Pracy Rzeszy drogi, którą idziemy. Jak można wyczytać z głazu, zbudowali ją w kwietniu-październiku 1935 roku ostatni ochotnicy z Kowar (Schmiedeberg/Rsg.) – oddział 2/103 (cyfra „2” wygląda na przerobioną na „3”).

100 metrów dalej również po prawej stronie mijamy głaz, który nie został naniesiony na mapy. Poświęcono go leśnikowi z „Jedlinek” („Tannenbaude”) Augustowi Herrmann’owi (1864-1932), który opiekował się leśniczówką i tutejszym drzewostanem od 1906 do 1929 roku, czyli przez 23 lata.

Po kilkunastu minutach marszu dochodzimy do końca ścieżki edukacyjno-przyrodniczej „Jedlinki”. Tuż zataczamy pętlę. Potem schodzimy jeszcze kilkanaście minut do Kowar. Po przejściu 18 km w 6 i pół godziny docieramy o godzinie 17³⁰ z powrotem na Kowarską Starówkę.

Fot. Zbigniew N. Piepiora



Sprzedż okienkowa w schronisku PTTK „Na Przełęczy Okraj”

Zbigniew N. Piepiora

Popołudniowy wypad na Śnieżkę

Wiele osób zastanawia się, czy w góry można wychodzić po pracy. Często bowiem nie mają możliwości załatwienia sobie dnia wolnego, a w weekendy odstrasza ich tłumy ludzi widoczne w każdym ciekawszym miejscu.

Postanowiłem zatem sprawdzić, czy na dzień dzisiejszy jest to możliwe. Dlatego przygotowałem się do tego nietypowego spaceru dosyć dobrze. Przede wszystkim sprawdziłem, jaka ma być pogoda. Niestety, prognoza nie była zbyt optymistyczna. Zapowiadano deszcz i burzę. Dlatego do plecaka wrzuciłem kurtkę przeciwdeszczową, czapkę z daszkiem i dodatkową koszulkę, w razie gdyby zaszła konieczność przebrania się w coś suchego.

Od rana dochodziły do mnie głosy mówiące o opadach. Najpierw była ulewa w Jeleniej Górze, po chwili deszcz zaczął padać w Bukowcu. Ale w Sobieszowie było sucho. Wiedząc z doświadczenia, jak zmienna potrafi być pogoda w górach, postanowiłem nie rezygnować i w poniedziałek 20 lipca 2020 roku zaraz po ukończeniu pracy wsiadłem do samochodu, by dotrzeć do Karpacza. Po drodze w Kowarach ponownie zaczął padać deszcz, ale w Karpaczu było zupełnie sucho.

Na szczęście udało mi się znaleźć wolne miejsce parkingowe w pobliżu Muzeum Sportu. Piszę na szczęście, gdyż w ostatnich dniach turystów w Karpaczu jest tak dużo, że zaparkowanie auta staje się prawdziwym wyzwaniem. Tym razem ruszając w trasę, zabrałem z sobą kije. Chciałem zobaczyć, czy będą pomocne na górskiej trasie. Jak się niebawem okazało, w początkowej fazie marszu pomagały w wędrowce. Później jednak, gdy wszedłem na kamienistą ścieżkę pnącą się ostro w górę Kotłem Łomniczki, kije tylko zawadzały. W górach tak jednak jest. Dlatego przy zakupie warto kierować się wygodą i nabyć kije składane. Trzeba tylko pamiętać, że wszystkie kije działające na zakrętkę z czasem tracą swoje własności i przy mocniejszym oparciu o grunt potrafią się składać. Jest to bardzo niebezpieczne. Dlatego ja zawsze kupuję kije zabezpieczone kulkami, które blokują poszczególne elementy zatrzaskowo.

Wracając do naszego spaceru, z ulicy Obrońców Pokoju udałem się szlakiem turystycznym koloru żółtego prowadzącym do schroniska „Nad Łomniczką”. Ze względu na późną porę postanowiłem zrobić niewielki skrót i zaraz za znajdującą się na Szlaku Górniczym odkrywką hornfelsów – bardzo twardych skał granitowych, z których zbudowana jest Śnieżka – skręciłem w ulicę Wolną, by dotrzeć nią ponownie do szlaku żółtego tuż przed



Centrum Informacyjnym Karkonoskiego Parku Narodowego. Jest to miejsce, w którym możemy dowiedzieć się wielu ciekawych informacji o roślinach rosnących w Karkonoszach czy laborantach wytwarzających z nich różne mikstury, w tym również trucizny.

Zaraz za Centrum nasz szlak skręca w lewo i powolutku zaczynamy piąć się pod górę. Nie jest to jeszcze zbyt męczące. Dlatego w miarę szybko docieram do Betonowego Mostu, obiektu wybudowanego w 1912 roku w nowatorskiej jak na tamte czasy metodzie, czyli z zastosowaniem żelbetonu. Zaraz za mostem znajduje się strefa odpoczynku zapewniająca schronienie w razie deszczu. Następna część trasy staje się coraz bardziej męcząca. Nie dość, że jest stromo, to trzeba jeszcze uważać, by nie skrócić sobie nogi na kamieniach. Dlatego najlepiej korzystać z pełnych butów usztywniających kostkę.

Po pokonaniu prawie 300 metrów różnicy wzniesień docieram do nieczynnego schroniska „Nad Łomniczką”. Po kilkuletnich perturbacjach właściciela obiektu z ostatnim dzierżawcą wreszcie coś się zmienia na lepsze. Widać prowadzone prace remontowe. Otworzono stoisko z napojami i drobnymi przekąskami. Są nawet przenośne ubikacje. Nie tracąc czasu, wspinam się dalej, tym razem szlakiem koloru czerwonego. Ścieżka staje się coraz bardziej wymagająca. Jak na razie na trasie nie ma zbyt wielu turystów. Wszyscy mijający mnie schodzą w dół. Tylko ja brnę „pod prąd”. Spokojnie docieram do kaskad Łomniczki, gdzie na lato pracownicy

Parku montują metalowy mostek. W zimę, ze względu na zagrożenie lawinowe, szlak ten jest zamknięty, a mostek demontowany.

Stąd już tylko kawałeczek i jestem przy „Symbolicznym cmentarzyku ofiar gór” utworzonym w 1982 roku. To tutaj na wysokości ponad 1300 metrów n.p.m. umieszczone są tabliczki upamiętniające ludzi, którzy tragicznie zginęli w górach. Nieco wyżej na zboczu Kotła Łomniczki, którym poprowadzony jest szlak czerwony, zamontowano metalowy krzyż. Gdy wieje silny wiatr, wydawać się może, że zawodzi on smutnie nad losem upamiętnionych tu osób.

Podążając Kotłem Łomniczki, pokonuję kolejne 400 metrów różnicy wzniesień i docieram do schroniska „Dom Śląski” położonego na Równi pod Śnieżką (1400 metrów n.p.m.). Jak łatwo policzyć, pozostało mi już tylko 200 metrów różnicy wzniesień i stanę na najwyższej górze Karkonoszy. Warto może dodać, że Śnieżka jest także najwyższą górą Sudetów i Czech.

Po krótkim odpoczynku idę dalej. Ze względu na panujący tu w lecie spory ruch turystyczny wprowadzono ograniczenia polegające na ustaleniu ruchu jednokierunkowego drogą zakosami tylko pod górę. Drogą Jubileuszową można chodzić w obie strony. Co prawda, jak za chwilę się przekonam, ludzie po zakosach chodzą w obie strony. Ba, nawet napatoczył się jakiś rowerzysta zjeżdżający ze Śnieżki.

W końcu jestem na szczycie. Jak się okazało, wcale nie było tu tak dużo ludzi. Może ze dwadzieścia osób i to głównie Czechów. Dzisiaj na szczycie zachował się tylko jeden stary budynek, ale za to jaki. Jest to pierwszy obiekt, jaki tu wzniesiono w roku 1681 na polecenie hrabiego Schaffgotscha, właściciela tych ziem. Wszystkie pozostałe obiekty istniejące na Śnieżce zostały rozebrane ze względu na ich stan techniczny. Warunki panujące na szczycie są tak wymagające, że nawet wybudowany w nowej technologii obiekt powszechnie nazywany „latającymi talerzami” także nie wytrzymał pogody i doszło do zarwania jednego spodka.

To, że góry, a właściwie pogoda w górach jest nieprzewidywalna, wiadomo od dawna. Tym razem musiało być tak samo. Bo jak inaczej tłumaczyć to, że mimo zapowiadanych opadów do tej pory świeciło słońce? Dopiero teraz zerwał się wiatr, który z minuty na minutę przybierał na sile. Od strony Karpacza zbliżała się mgła i czuć było, że za chwilę coś lunie. Nie było zatem na co czekać, trzeba było się ewakuować. Postanowiłem ruszyć Czarnym Grzbieciem w stronę Sowiej Doliny. Dzięki tej decyzji jeszcze przez chwilę szedłem spokojnie. Niestety, w połowie drogi wszystko się zmieniło. Najpierw ogarnęła mnie mgła, po chwili poczułem jak wbija mi się w skórę niesiony wiatrem grad wielkości grochu. Zaraz też pojawił się deszcz. Na szczęście zdążyłem założyć kurtkę i w miarę suchy dotarłem do schroniska Jelenka.

Teraz nie miałem się czego obawiać, dalsza droga to ciągle zejście w dół. Zaraz byłem na Sowiej Przełęczy i zbaczając na czarny szlak, ruszyłem w stronę Karpacza. Niestety, skończyły się czasy spokojnego schodzenia na dół. Od czasu, kiedy droga została wyłożona kamieniami, jest bardzo niewygodna. Zwłaszcza po deszczu. Teraz trzeba iść bardzo powoli, stawiać stopy ostrożnie i baczyć, by się nie przejechać na wilgotnym podłożu.

Na szczęście wszystko zakończyło się szczęśliwie i po trzech godzinach marszu udało mi się powrócić w miejsce, z którego wyruszyłem na dzisiejszy spacer. Jak więc widać, można, korzystając z ładnej pogody, odbyć ciekawy popołudniowy spacer po Karkonoszach.

Krzysztof Tęcza





NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

Polub nas na Facebooku!

Pamięci Andrzeja Hermanna

Jeszcze w sobotę 27-go byliśmy razem na klubowym wypadzie nad Drwęcę, a... 30 czerwca 2020 roku zmarł nasz Kolega Andrzej Hermann. Ostatnie pożegnanie odbyło się 13 lipca (poniedziałek) o godzinie 10 w Kaplicy przy Cmentarzu Komunalnym w Toruniu. Msza święta pogrzebowa odprawiona została w Bydgoszczy na cmentarzu parafii Najświętszego Serca Jezusowego przy ul. Ludwikowo 4 o godzinie 12:45.

Takimi oto słowami żegnała Go prezes Klubu „Karpaty” Hanna Leszczyńska.

Pożegnanie kol. Andrzeja Hermanna – Toruń 13 lipca 2020 r.

Klub „Karpaty” Oddziału Uniwersyteckiego PTTK w Toruniu z głębokim żalem i smutkiem żegna dziś naszego drogiego kol. Andrzeja Hermanna. Dla Klubu, ale również dla całego Oddziału to strata niepowetowana i powiedzenie „nie ma ludzi niezastąpionych” w tym przypadku całkowicie nie sprawdza się. Andrzej Hermann urodził się w Bydgoszczy 16 października 1950 r. Do Torunia trafił dzięki studiom na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Wybrał fizykę. Z uczelnią naszą związany był zawodowo do 1992 r., początkowo jako asystent na Wydziale Fizyki, a następnie pracownik działu zajmującego się komputeryzacją uczelni. Informatyka przeważała też w jego dalszej pracy zawodowej. Do PTTK kol. Andrzej wstąpił w maju 1969 r. Jego zainteresowaniem objęte były dwa kierunki działalności: turystyka górską i krajoznawstwo, przy czym to drugie od pewnego czasu całkowicie nim zafascynowało. I tak posiadał on uprawnienia Instruktora Krajoznawstwa Regionu, brał udział w Wojewódzkich Złotach Aktywu Krajoznawczego, współtworzył periodyk „Pomorze i Kujawy”(zdjęcia, artykuły), był współautorem tekstów i zdjęć pierwszego Kanonu Krajoznawczego województwa kujawsko – pomorskiego pod redakcją jego i Henryka Miłoszewskiego Prezesa Oddziału Miejskiego PTTK. Jako wybitny znawca gór i topografii był kol. Andrzej przewodniczącym komisji egzaminacyjnej na przodowników GOT przy Komisji Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK. Ze szczególnego zaangażowania dał się poznać kol. Andrzej z działalności w ramach Oddziału Uniwersyteckiego PTTK w Toruniu, gdzie przez wiele lat pełnił funkcję Sekretarza Zarządu, a następnie funkcję członka Komisji Rewizyjnej, opiekował się również w tym czasie biblioteką oddziałową. W naszej pamięci przede wszystkim pozostaną na zawsze wycieczki jedno i kilkudniowe organizowane przez niego głównie w ramach koła przyrodniczego, na których błyszczał wiedzą krajoznawczą jak i historyczną. Wycieczki dalsze i bliższe to była ważna dziedzina działalności kolegi Andrzeja i wielka jego pasja. Organizował je również dla innych organizacji np. Okręgowej Izby Radców Prawnych czy Kamienicy Inicjatyw, z którą to ostatnio związał się szczególnie, prowadząc również wykłady tematyczne.

Docierały do nas także informacje o współpracy Andrzeja z towarzystwem turystycznym z Bydgoszczy, a także innymi grupami zainteresowanymi jego propozycjami. Realizując swoje pasje, zgromadził kolega Andrzej ogromny zbiór slajdów, zdjęć i wydawnictw krajoznawczych i górskich, które chętnie udostępnił i którymi również się dzielił.



Andrzej nie dbał o zaszczyty i wyróżnienia, ale posiadał liczne odznaki, szczególnie górskie, w tym przodownika GOT, a za całokształt działalności otrzymał Złotą Honorową Odznakę PTTK. Jeżeli chodzi o Klub Turystyki Górskiej „Karpaty”, do którego należał od lutego 1983 r., to jego aktywność wyróżniała się w sposób znaczny. Perfekcyjnie przygotowane przez niego prelekcje tematyczne, wyjazdy w góry i wycieczki, w tym piesze w okolice i dalsze samochodowe, dominowały w całej działalności klubowej.

Znajomość krajoznawczych szczegółów, wiedza historyczna, geograficzna, topograficzna budziły w nas zawsze podziw i uznanie. Pasja Andrzeja w poszukiwaniu grodzisk i głazów, które były ostatnio szczególnym przedmiotem jego zainteresowań, wciągała nas i zarażała do tego stopnia, że np. pod jego kierunkiem łopatkami kopaliśmy wokół spotkanego głazu w celu oceny jego faktycznej wielkości. Wiemy, że Andrzej zinwentaryzował wszystkie liczące się głazy narzutowe w województwie kujawsko-pomorskim i materiał ten był lub będzie z pewnością wykorzystany w odpowiednich publikacjach.

Nigdy nie zapomnimy również wycieczek organizowanych przez Andrzeja do miast, po których oprowadzał nas jak najlepszy miejscowy przewodnik: Gdańsk, Poznań, Olsztyn, Bydgoszcz, Płock, Grudziądz, Chełmno, Włocławek, Lipno, Żnin i inne pomniejsze to były fascynujące przeżycia.

Był również Andrzej znany w klubie z przypominania i obchodzenia różnych ważniejszych rocznic np. urodzin Chopina, bitwy pod Grunwaldem, powstania styczniowego. Organizował wówczas wycieczki do miejsc związanych historycznie z osobami lub wydarzeniami i na tym miejscu w sposób niezwykle obrazowy przypominał fakty, w tym również te mniej znane. Np. w jednej ze wsi na ziemi dobrzyńskiej opowiadał na polnej drodze o aresztowaniu w tym właśnie miejscu przez carską ochronę właściciela ziemskiego współpracującego z powstańcami 1864 r. Było to mocne wrażenie, tak że zdawało się słyszeć stukot powozów i szcęk broni.

Te szczegóły pozwalają na rzeczywisty obraz aktywności naszego nieodżałowanego kolegi.

Tak, Andrzej był jednym z najmocniejszych filarów klubu i będzie nam go bardzo brakowało.

Żegnaj Andrzeju!

Niech niebieskie szlaki i przestrzenie będą dla Ciebie źródłem poszukiwań i radości.

Żegnają Cię wszyscy klubowicze, tak ci, którzy zebraли się na tym pożegnaniu jak i ci, którzy są z Tobą myślami, bo z różnych powodów nie mogli przybyć.

Juliusz Wystouch



Wspomnienie Mariana Klaklika z rabacją Kostki Napierskiego w tle

Pieniny zawsze cieszyły się dużą popularnością w literaturze, temat wdzięczny, więc nigdy nie brakowało chętnych; odwrotnie niż u artystów sztuk pięknych, wśród nich panuje wręcz posucha i dlatego każde dzieło warto odnotować. Znanymi w świecie zakopiańskich artystów malarzy Marian Klaklik w latach 30. ubiegłego wieku namalował akwarelę, którą można by zatytułować „Kostka-Napierski pod Czorsztynem”.

Kostka-Napierski dwójga imion Aleksander Leon, postać barwna, znana nie tylko na Podhalu, kapitan w służbie szwedzkiej podczas wojny trzydziestoletniej, do kraju powrócił dopiero po śmierci króla Władysława IV. Zapisał się nie tylko rabacją na Podhalu, ale i swoją dwuznaczną rolą agenta na usługach Bohdana Chmielnickiego i – jak przypuszczają niektórzy historycy – prawdopodobnie króla szwedzkiego oraz księcia Rakoczego.

W 1651 zorganizował rekrutację na Podhalu, wydał do górali uniwersał, w których wzywał do obalenia władzy panów. Liczył na większy zaciąg, ale górale jakoś skorzy nie byli do spontanicznego działania, mimo że zyskał poparcie Stanisława Łętowskiego i Marcina Radockiego. Z oddziałem liczącym dwudziestu kilku chłopów, uformowanym przez siebie, zdobył bez większego problemu zamek w Czorsztynie, który „broniony” był przez dzierżawcę Żyda Salomona Włochowicza z jednym hajdukiem i czekał na pomoc... Jerzego II Rakoczego, księcia siedmiogrodzkiego. Doczekał się natomiast wojsk biskupa krakowskiego Piotra Gembickiego pod wodzą pułkownika Jarockiego, które zamek zajęły, bo Kostka-Napierski się poddał. Dowódcy powstania zostali surowo osądzeni w Krakowie, gdzie Kostka-Napierski skazany został na śmierć i na pal nabity, Łętowski poćwiartowany, a Radocki ścięty.

Fabula efektowna, o gotowym wręcz scenariuszu filmowym. Niedoszły zwycięski przywódca powstania na Podhalu stał się, że przypomnę, bohaterem powieści Władysława Orkana „Kostka-Napierski. Powieść z XVII wieku” i filmu „Podhale w ogniu” w reżyserii Jana Batorego.

Na obrazie Mariana Klaklika sam Kostka-Napierski na białym koniu siedzący - należy przypuszczać, że to on - wiedzie na zamek czorsztyński oddział chłopów, jakby się uprzeć i policzyć, to faktycznie liczący ponad dwudziestu chłopów. Zamek w wizji malarskiej prezentuje się okazale i daje się odczuć zamierzenie autora pokazującego, na co się targnęli powstańcy. W rzeczywistości pewnie tak nie wyglądał, ale artysta ma prawo mieć swoje wyobrażenie. Własnoręcznie pod obrazkiem napisał: „Hasła walki antyfeudalnej znalazły swój wyraz w powstaniu chłopów na Podhalu pod wodzą Kostki Napierskiego w 1651 r.” To dziesięciodniowe powstanie, które - jak marnie się zaczęło, tak i skończyło - nie egzystuje w przekazach, przeciwnie stało się prawie mitycznym i wdzięcznym motywem.

Autor akwareli Marian Klaklik (1895-1964) urodził się w Częstochowie i trzeba przyznać, że miał dobrych nauczycieli. Po skończeniu gimnazjum uczył się rysunku i malarstwa w prywatnej szkole Mariana



Zaremskiego, który z kolei był uczniem Wojciecha Gersona i Józefa Brandta. Później studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie w latach 1924-1929 u profesorów: Tadeusza Pruszkowskiego (malarstwo), Władysława Skoczylasa (technika graficzna) i Wojciecha Jastrzębskiego (sztuka użytkowa).

W 1928 zaniemógł na płuca i na kurację zdrowotną wyjechał do Zakopanego i tak się pod Tatrami poczuł „chory”, że już na stałe pozostał, co można by skomentować, że było to najdłuższe zdrowienie w jego życiu. Dość szybko Klaklik związał się z miejscowym środowiskiem artystycznym, wstąpił do Związku Zawodowego Polskich Artystów Podhalańskich, wystawiał i aktywnie uczestniczył w życiu Zakopanego. Widoczny był nie tylko w Zakopanem, także w „Zachęcie” w Warszawie, Krakowie i Grodnie. Na wystawę w Lublinie namalował cykl pejzaży z tego miasta.

W Zakopanem przeżył II wojnę światową, w latach 50. minionego wieku często wyjeżdżał do swojej rodziny osiadłej w bliskości Sudetów. Z tego okresu pochodzi wiele jego pejzaży z okolic Paczkowa, Barda i Kłodzka. Bywał w Warszawie, malując zniszczone miasto. Mieszkając w Zakopanem, został członkiem grupy malarzy tradycjonalistów „Zachęta”, dalej kontynuował malarstwo lansujące tradycyjne formy i techniki malarskie szkoły Pruszkowskiego. Krytycy dopatrywali się w jego tatrzańskich i podhalańskich pejzażach polskiego postimpresjonizmu z nutą tęsknoty, żalu, smutku w refleksyjnych rysunkach i odpowiedniej do tego kolorystyce.

Marian Klaklik w 1955 zajął I miejsce w konkursie na plakat z okazji uroczystości Sabałowych. Ze znanych obrazów Klaklika wymienić należałoby „Głowę górala z Bukowiny” (akwarela), „Stary jesion w Zakopanem”, „Góralkę w czerwonej chustce”, portret olejny Kornela Makuszyńskiego, chociaż w całej jego twórczości dominują krajobrazy tatrzańskie. Obrazy Klaklika znajdują się w kolekcjach Muzeów: Narodowego w Krakowie, Tatrzańskie w Zakopanem i Śląska Opolskiego w Opolu oraz wśród licznych prywatnych galerii. Akwarela poświęcona Kostce-Napierskiemu pod Czorsztynem pozwoliła nam nietypowo powędrować po życiu Mariana Klaklika i przypomnieć w dużym skrócie historię powstania chłopskiego na Podhalu.

Ryszard M. Remiszewski



Akwarela Mariana Klaklika

Twórca zrębów nauki i szkoły

Ten, który zaczął budować

Przed odzyskaniem niepodległości w 1918 r. wiedza na poziomie naukowym o naszej przyrodzie znana była przede wszystkim romantycznym krajoznawcom. Przyroda, naturalne przebogate szaty naszego kraju były celem wędrówek – do jej osobliwości, podziwiania i zachwycania się jej widokami – organizowanych od 1873 r. przez Towarzystwo Tatrzańskie, a od 1906 r. przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze. Obydwa miały zapisane w statutach poznawanie przyrody, gromadzenie o niej wiedzy i jej rozpowszechnianie ku pożytkowi wspólnemu. Wiedza o przyrodzie i jej znanie stawało się zarówno modne jak i było jedną z miar patriotyzmu. Ale do uznania tej wiedzy za naukę było dość daleko.

Znawcą i badaczem przyrody, a więc tym samym krajoznawcą, który nauczał o przyrodzie był **Marian Raciborski (1863-1917)**. To on uznany jest za jednego z najważniejszych pionierów, za tego, który tworzył

wiedzę naukową, której treścią i istotą była ochrona przyrody. Był wychowankiem **Józefa Rostafińskiego (1850-1928)** historyka biologii i popularyzatora botaniki.

Raciborski studiował w krakowskiej jagiellońskiej Alma Mater i był w Krakowie asystentem Rostafińskiego. Studiował też we Wrocławiu i Bonn, a potem cztery lata spędził w Indonezji i na Jawie. Badał rośliny tropikalne m.in. uprawy trzciny cukrowej i ryżu. Po powrocie został profesorem botaniki w Akademii Rolniczej w Dublanach i założył Instytut Botaniczny na Uniwersytecie we Lwowie. Po swoim mistrzu objął funkcję dyrektora Ogródu Botanicznego. Takie były początki jego krakowskiej szkoły botanicznej, którą kontynuował jego wychowanek Władysław Szafer (1886-1970).

Dorobek naukowy Rostafińskiego to prawie 330 publikacji na temat glonów, grzybów, paprotników i roślin nasiennych. Zajmował się pionierskimi badaniami paleobotaniki, czyli «starożytnością» szaty roślinnej i zabytków kopalnych. Związał się z uczonymi, którym coraz bliższe były problemy ochrony przyrody. Współpracował m.in. z wybitnym zoologiem **Maksymilianem Siłą-Nowickim (1826-1890)**, geologiem **Ludwikiem Zejsznerem (1805-1871)** i **Eugeniuszem Janotą (1823-1878)**, którego epokową zasługą było uchwalenie przez Sejm Krajowy we Lwowie pierwszych polskich przepisów prawnych o ochronie świstaka i kozic w Tatrach.

Kontakty nawiązane w Niemczech z **Hugo Conwentzem (1855 – 1922)** otworzyły mu drogę do podjęcia problemów ochrony przyrody kraju bez państwa. Problem ochrony przyrody nie był wśród pierwszoplanowych, ale znajomość z Raciborskim i poznanie dzieła **Jana Gwalberta Pawlikowskiego (1860-1939)** *Kultura a Natura* z 1913 r. spowodowało, że podzielał jego znajomość i umiłowanie Tatr, uznawał w nim „duchowego ojca ochrony przyrody”. Związał swoje działania naukowe z jego poglądami na ochronę rodzimej przyrody, łącząc kulturę przyrodniczą z humanistyczną.

W dziejach ochrony polskiej przyrody do najważniejszych wydarzeń pośród licznych prac Raciborskiego należy artykuł *Zabytki przyrody z 1908 r.* Treść tej publikacji pomnożył w 1914 r. wspólnie z przyrodnikiem, podróżnikiem i geografem **Ludomirem Sawickim (1884-1928)**. Był to tekst *Badanie i ochrona zabytków przyrody. Program dla działaczy kulturalnych*. W tej publikacji opisał taką wspaniałość przyrodniczą jak azalia pontyjska, rzadkie rośliny w Pieninach i na terenie Miodoborów na Podolu. Poznawanie przyrody polskiej uważał za wyraz miłości ojczyzny, co w istocie zbliżało go do krajoznawców uprawiających turystykę przyrodniczą.

Także ten sam autor ma w dorobku pisarskim artykuł *Ochrony godne drzewa i zbiorowiska roślin z 1910 r.* Było to opisanie wyników ankiety przeprowadzonej przez Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika. W tekście opisane są miejsca, gdzie są osobliwości natury np. rośliny, zwierzęta, skały godne poznania, ochrony i zachowania. Należy do tych pierwszych nauczycieli akademickich, którzy wykładali na Uniwersytecie Lwowskim przedmiot *Zabytki przyrody*, a m.in. napisał własną definicję zabytku-pomnika przyrody, historię tej dziedziny wiedzy, konieczność ochrony przyrody i krajobrazu. Cytował opisy przyrody Adama Mickiewicza i Wincentego Pola.

Taką rozległą wiedzę i jej popularyzowaniem Raciborski zasłużył się jako twórca szkoły naukowej. W jego dorobku są skuteczne działania i zręby nauki i szkoły ochrony przyrody w Polsce, a w szczególności trzech form naukowych i organizacyjnych podstaw: jej ochrony, czyli pomników przyrody, ochrony gatunkowej i obszarowej w rezerwach i parkach narodowych. Skupił wokół siebie liczne grono naukowców z Lwowa, Dublan, Krakowa. Do jego uczniów i kontynuatorów w badaniach i działaniu dla ochrony przyrody należą np. **Stanisław Kulczyński (1895-1975)** biolog zasłużony w działalności polskiego Uniwersytetu Wrocławskiego, **Adam Wodziczko (1878-1948)** anatom i fizjolog roślin z Uniwersytetu Poznańskiego, wspomniany już Władysław Szafer, który przedłużał i pomnażał dorobek szkoły Raciborskiego, a także **Szymon Wierdak (1883-1949)** badacz drzew z Uniwersytetu Lwowskiego.

Wypada dodać, że wkład Mariana Raciborskiego do powstania systemu ochrony przyrody w Polsce znajduje w latach XX i XXI w. liczne dowody w postaci zorganizowanych form turystyki przyrodniczej i krajoznawstwa przyrodniczego. Wyrazem tego stanu rzeczy są liczne stowarzyszenia i organizacje obywatelskie służące ochronie przyrody, czasopisma i wydawnictwa parków narodowych poświęcone ochronie przyrody, olimpiady przyrodnicze i wieloraki postęp w dziedzinie ekologii. Również w systemie odznak PTTK nagradzających zainteresowanie i pogłębianie wiedzy o ochronie przyrody oraz funkcja społecznego strażnika ochrony przyrody. Wśród tych wyróżnień jest odznaka *Turysta – przyrodnik* oraz regulaminowe wymogi konieczne do spełnienia podczas zdobywania licznych odznak krajoznawczych i regionalnych.

Tomasz Kowalik

Leonard Jaczewski

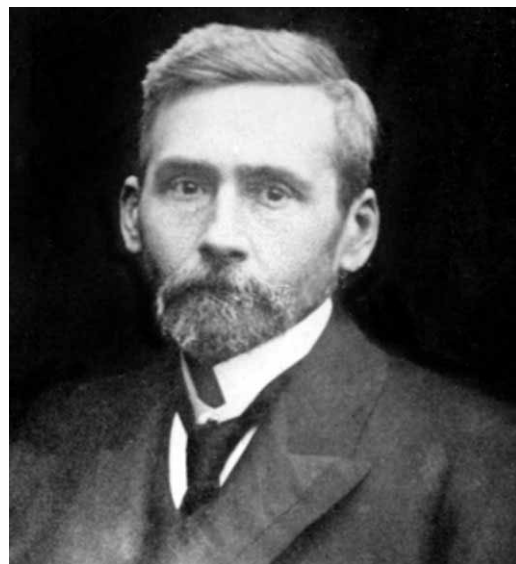
Urodził się w rodzinie rachmistrza powiatowego Antoniego Jaczewskiego i Wandy z Kozłowskich 11 września 1858 r. we wsi pod Białymstokiem. Otrzymał imiona Leonard Feliks Stefan. Wczesna śmierć ojca spowodowała, że wychowywał go stryj Franciszek (biskup diecezji lubelskiej). Ukończył gimnazjum w Warszawie. Uzyskał dyplom inżyniera górnictwa w Instytucie Górnictwem w Petersburgu (1883).

Po studiach Leonard Jaczewski udał się do Irkucka i brał udział w wielu syberyjskich ekspedycjach naukowych. Prowadził badania geologiczne Sajonów (1887). Badał pokłady węgla na Syberii Zachodniej (1888). Wyzначył zasięg marzłoci na Syberii i sporządził mapy (1889), stając się w tej dziedzinie czołowym autorytetem naukowym. Szukał złota na Uralu i w Kazachstanie (1900). W zespole Karola Bohdanowicza brał udział w projektowaniu przebiegu środkowosyberyjskiego i przybajkalskiego odcinka kolei transsyberyjskiej (1891-94). Badając geologiczną budowę gór Chamar-Daban nad Bajkałem, założył tam stację naukową. Odkrył pokłady nefrytu nad rzekami Onon i Ingoda na Zabajkale (1897). Poznawał geologię brzegów jeziora Chubsugul w Mongolii. W 1898 r. Imperatorskie Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne odznaczyło go srebrnym medalem Przewalskiego. W latach 1899-1903 wykładał mineralogię w Wyższej Szkole Górniczej w Jekaterinosławiu (dziś: miasto Dnipro na Ukrainie), a jednocześnie nadal uczestniczył w wyprawach poszukiwawczych złota nad Jenisiejem. Od 1905 r. był profesorem Mikołajewskiej Akademii Wojskowo-Inżynieryjnej i wykładał geologię i petrografię. Był inicjatorem powołania Międzynarodowej Komisji Badań Geotermicznych (1905), a od 1910 r. przewodniczył takiej komisji przy IRTG. Działając w Komitecie Geologicznym w Petersburgu (później: Piotrogradzie), od 1913 r. współtworzył mapy geologiczne Syberii. Sporządził mapę sieci rzecznej Syberii Środkowej. Wydał 89 publikacji naukowych. W karierze doszedł (1911) do stopnia rzeczywistego radcy stanu (był to czwarty pod względem ważności stopień urzędniczy, odpowiadający generałowi majorowi w wojsku). W końcu życia podjął pracę profesora mineralogii w Wyższej Szkole Górniczej w Jekaterinburgu na Uralu.

Leonard Jaczewski zmarł 3 maja 1916 r. w Piotrogradzie z powodu raka żołądka. Pochowany został na Cmentarzu Uspeńskim w tym mieście. W Warszawie urządono mu symboliczny grób na Cmentarzu Powązkowskim.

Jego żona Helena z Bironów urodziła syna Tadeusza i córkę Marię. Tadeusz stał się znanym zoologiem, profesorem i prorektorem Uniwersytetu Warszawskiego.

Leonard Jaczewski był wybitnym geologiem i geografem oraz inżynierem górnictwa, badaczem i podróżnikiem, zasłużonym dla rozwoju gospodarki Syberii. Pozostawił po sobie wiele prac naukowych dotyczących złóż węgla, rudy żelaza, kamieni szlachetnych i złota oraz źródeł geotermicznych na Syberii. Część jego prac przechowuje Muzeum Ziemi PAN w Warszawie.



Janusz Fuksa

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Zofia Wiatrak**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wyslouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Piłk,
Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobsch, Mirosław J. Barański



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931